

egzemplarz bezpłatny

ISSN 1732-6494 nr 25, styczeń 2008



mixer

magazyn studentów

Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego



To już
25
numer

**– Na Zachodzie nikt by
nie wylał oleju
do zlewozmywaka...**

miXer

magazyn studentów

Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

Nr 25 styczeń 2008

3 Apéritif

PoWaGa

Politycznie Ważne Gadanie

- 4 Warto poznać swoje prawa
- 5 Nowy 13 grudnia
- 5 Zapłacić za to, że ... się nie wraca
- 6 A może emigracja wewnętrzna?

StuDnia

Studencki Drogowskaz Intelktualny

- 8 Zmiany na samorządowym podwórku...
- 9 Kariera kołem się toczy
- 10 ECDL CAD, czyli Europejski Certyfikat Umiejętności Komputerowych

Temat z okładki

- 12 - Na Zachodzie nikt by nie wylał oleju do zlewozmywaka...

Kraków od spodu

- 14 „MediaTory”, czyli Studenckie Nagrody Dziennikarskie, rozdane!
- 15 Rozgrymaszona nieprzysiadalność
- 16 „Gumowy” bakłażan i aczma z mikrofali
- 16 Festiwal reggae

KUMulus

Kulturalny Uzupełniacz Młodzieży

- 17 Gdy córka „Tamilskiego Tygrysa” pokazuje pazury...
- 18 Najlepsze 30 sekund wieczoru
- 19 Historia o kłatwie, zbrodni i karze
- 20 Niebiański splendor – rzemieślniczy trud w poszukiwaniu prawdziwego boga

FeLieTon

Fobia Ludzi Trudnych

- 21 To zawsze osobista tragedia kobiety...
- 22 Bieszczadzka Kolejka Leśna
- 23 „Wiedźmin”, towarzyska gra wyobraźni

redaktor naczelny	Bartłomiej Misiniec
zastępca redaktora naczelnego	Szymon Wróbel
redakcja	Iga Bałos Iwona Faron Grzegorz Makuch Joanna Oparcik Agnieszka Prosta Daniel Wilk Magdalena Zakrzewska Anna Zielińska Mateusz Płocica
zdjęcia	Mirosław Żak

dtp i okładka	Mateusz Janusz (hussars.pl)
adres do korespondencji	mixer_ksw@interia.eu
druk	Drukarnia Leyko tel. 012 656 44 87
nakład	2000 egzemplarzy
opieka redaktorska	Maciej Malinowski (Wydział Politologii i Komunikacji Społecznej)

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania tekstów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych.



Bartłomiej Misiniec redaktor naczelny

Apéritif

Serdecznie witam czytelników „Mixa” w nowym, 2008 roku! Mam nadzieję, że wszyscy odpoczęliście podczas świątecznej przerwy. Na powitanie studenckiej rzeczywistości zapraszam do lektury naszego pisma.

Pod koniec ubiegłego roku gościliśmy młodych działaczy Greenpeace, którzy opowiedzieli o swej pracy i głównych celach ruchu. Może pamiętacie duży transparent rozwieszony na hotelu przy rondzie Mogińskim, gdzie odbywała się konferencja na temat Bałtyku? To też była ich sprawka, o czym przeczytacie na str. 12.

Wszystkim polecam artykuł Bartka Walata (str. 4). Postaraliśmy się we współpracy z Samorządem KSW wytłumaczyć w nim niektóre zawilości wynikłe z ostatniej zmiany regulaminu studiów. Z pewnością pomoże Wam to uniknąć wielu niepotrzebnych nieporozumień i usprawni relacje z dziekanatem.

Warto również wiedzieć, że Krakowska Szkoła Wyższa jest jedyną w kraju uczelnią z własnym laboratorium ECDL CAD, które umożliwia zdawanie egzaminów uprawniających do wszystkich czterech rodzajów Europejskiego Certyfikatu Umiejętności Komputerowych. Zdjęcia i informacje na str. 10.

Gorąco polecam też mocno rozbudowany dział kulturalny. Liczę, że przyniesie Wam dużo satysfakcji.

Nie wiem, czy zauważyliście, ale niniejszy magazyn ma już numer 25. Z tej okazji 10 stycznia odbyło się szalone „Mixer Party”, o którym będziecie mogli przeczytać w następnym numerze. ■

Nowy regulamin Krakowskiej Szkoły Wyższej

Warto poznać swoje prawa

Od początku roku akademickiego 2007/2008 regulamin Krakowskiej Szkoły Wyższej obowiązuje w nowej wersji, zawierającej merytoryczne poprawki. Dotyczą one m.in. formalności związanych z egzaminami warunkowymi. Warto się zapoznać z kluczowymi zmianami.

Bartosz Walat

Szereg najnowszych poprawek w regulaminie naszej uczelni związanych jest z kwestiami na tyle znaczącymi, że każdy student powinien się we własnym zakresie zapoznać z jego treścią. Sam charakter zmian dotyczy w szczególności tematyki sesji, dlatego postaram się przybliżyć zagadnienia najistotniejsze (nasze prawa i obowiązki).

– *Poprzedni regulamin obowiązywał w oparciu o starą ustawę. Została ona zmodyfikowana w lipcu 2005 r., co zobligowało wszystkie szkoły wyższe do zmian. Nasza uczelnia, korzystając z powstałej możliwości, wprowadziła również własne poprawki, mające na celu przeobrażenie artykułów, które do tej pory godziły w interesy studenta* – komentuje zaistniałą sytuację przewodniczący Rady Uczelnianej Samorządu Studentów **Dawid Czupik**.

Najbardziej znaczącym przeobrażeniem jest kwestia poprawek w razie niezdania poszczególnego egzaminu. Dotychczasowe regulacje ustalały obowiązek uczestniczenia w dwóch egzaminach poprawkowych w terminach wyznaczonych harmonogramem sesji. Obecnie możliwość skorzystania z jednej z dwóch poprawek jest nieobowiązkowa (art. 28 ust. 2) i – co się z tym wiąże – w razie rezygnacji z niej nie stanowi ona dla studenta wydatku w formie opłaty kolejnych 40 lub 30 zł w zależności od tego, czy jest to egzamin czy zaliczenie. Student nie otrzymuje też tzw. dwójkę dziekańską, jak to miało miejsce do ostatniej sesji letniej.

Dawid Czupik zauważa, że: – *Przed zmianą regulaminu wiele osób zwracających się o prawną pomoc nie potrafiło zrozumieć, dlaczego na innych uczelniach jedna z poprawek nigdy nie była obowiązkowa, i co sprawiło, iż w Krakowskiej Szkole Wyższej ta sytuacja była odmienna.*

Kolejnym elementem, o którym warto pamiętać w trakcie sesji, są ustalenia dopełniające okoliczności wpisu warunkowego krótkoterminowego, który obok wpisu długoterminowego (stanowiącego skierowanie na powtarzanie przedmiotów) jest sposobem poradzenia sobie z przedmiotami niezdanymi. Gwarantuje nam zarazem wpisanie na nowy

semestr pod rygorem dokończenia sesji w dodatkowo ustalonym przez dziekana terminie.

Wiąże się to właśnie z czasem, w którym student może składać wniosek o przywrócenie terminu egzaminu bądź zaliczenia w wypadku wystąpienia przeszkody uniemożliwiającej jego przybycie (np. choroby). Regulamin wyznacza na tę powinność 7 dni następujących po ustaniu przeszkody. Tak więc pamiętajcie, żeby wszystkie procedury wykonywać jak najszybciej, gdyż każda zwłoka może doprowadzić do rygorystycznych konsekwencji. Zaostrzenie o podobnej istocie dotyczy również sytuacji, w której dziekan na bazie uzasadnionego przypadku, przesuwając lub przywracając nam termin egzaminu, może wpłynąć na czas trwania naszej sesji i przedłużyć ją nie dłużej niż o 14 dni od czasu zakończenia sesji poprawkowej.

Ograniczony czas na składanie wniosku, a w szczególności dokończenia sesji, jest różnie oceniany w środowisku studenckim. Przewodniczący Rady Uczelnianej Samorządu Studentów przyznaje, że: – *Dla osób, które nie traktują studiów zbyt poważnie, owa zmiana stanowi niemal problem. Jednak w trosce o pilnych studentów, którzy mieli pewne zastrzeżenia co do sytuacji godzących w reputację uczelni, stworzono przepis wpływający na podniesienie standardu i wymagań, które wymuszają na wszystkich systematyczność.*

Marek, student I roku psychosocjologii, pytany o swoje stanowisko względem powstałych ograniczeń, zastrzega, że: – *Dla studentów dbających o własne interesy zmiana nie odgrywa wielkiej roli, likwiduje jednak absurdalność wśród tych, którzy jak dotąd wykorzystywali możliwość długotrwałego zwlekania.*

Trzeba jednak zaznaczyć, że wśród studentów zdania na ten temat są bardzo podzielone i jedynie argument stawiania na jakość uczelni likwiduje wszelkie wątpliwe spory.

Warto również zwrócić uwagę na apel Samorządu Studenckiego. Apel ma na celu usprawnienie działań i zlikwidowanie utrudnień pojawiających się rokrocznie podczas trwania sesji. Istnieje bowiem wiele zasad i postaw, które by mogły zaradzić niepotrzebnym komplikacjom.

Tak więc stosując się do tych zaleceń, nie odkładajcie wszystkich koniecznych formalności (związanych m.in. z poprawkami) na ostatnią chwilę, gdy dziekanaty zajmują się wydawaniem indeksów. By odebrać kartę egzaminacyjną, uregulujcie wszelkie odpłatności, o których stanie dowiecie się przez kontakt z działem księgowości. Pamiętajcie, że niedopełnienie tych procedur spowoduje niewydanie karty egzaminacyjnej i doprowadzi do niedopuszczenia was do egzaminu lub jego unieważnienia, nawet jeśli pozytywnie go zdacie.

Sami zadbajcie o bezproblemowy proces wszelkich urzędowych spraw. Nie kupujcie kart poprawkowych na dzień lub w dniu egzaminu, spróbujcie sami zapobiec kolejkom w kasach i dziekanacie. Nie zapominajcie, że jest to instytucja wam pomocna i musicie z nią współpracować, wyzbywając się zbędnego krytycyzmu.

Postarajcie się też przestrzegać wszystkich terminów zawartych w regulaminie i dopełniać wszelkich formalności. Wystrzegajcie się zachowań niepożądanych. Fałszowanie podpisów wykładowców w indeksie jest przestępstwem, które w każdej mierze wychwytyuje dziekanat i na mocy prawa kieruje okoliczność do Komisji Dyscyplinarnej, która orzeka karę w wymiarach upomnienia, nagany, zawieszenia w prawach studenckich bądź bezpośrednio kieruje wniosek o usunięcie z uczelni.

W związku z mnogością specyficznych sytuacji i rozwiązań jeszcze raz polecam zapoznanie się z całym wymiarem regulaminu i przestudiowaniu wszystkich jego innowacyjnych punktów. W razie wątpliwości macie jednak możliwość zwracania się o pomoc prawną do odpowiednich organów. Pamiętajcie, iż dziekanaty są kompetentne do wyjaśniania wam wszystkich niepewności na temat rodzaju podań, wnoszonych opłat i wszelakich terminów, zależnych od specyfiki waszych sytuacji. Możecie się również skontaktować z Samorządem Studenckim. Zarówno drogą mailową (adres dostępny na stronie Samorządu Studenckiego KSW www.samorząd.ksw.edu.pl), jak i w czasie trwania dyżurów postara się on zaradzić w każdej wątpliwej bądź kłopotliwej sprawie.

Wagę wydarzeń z Lizbony zweryfikuje przyszłość i oceni historia. Oby właśnie ten dzień rozpoczął nudną historię Polski i Europy, bo jak pisał Monteskiusz: „Szczęśliwy naród, którego historia jest nudna”

Nowy 13 grudnia

Maciej Pietrzyk

„Historia zapamięta ten dzień jako dzień, który otwiera nowe nadzieje” – tymi słowami premier Portugalii José Sócrates otworzył ceremonię podpisania traktatu reformującego Unię Europejską. 13 grudnia 2007 r. przywódcy 27 krajów sygnowali porozumienie mające odmienić Wspólnotę Europejską i sprawić, że stanie się na tyle silna, żeby sprostać wymaganiom XXI wieku.

W 2005 r. po referendum we Francji i w Holandii upadł projekt wielkiej konstytucji europejskiej. Unia pogrążyła się w letargu, ugrzęzła w instytucjonalnym kryzysie. W tym samym roku także Polska wpadła w stan impasu. Polacy,

wybierając rewolucję moralną spod znaku Prawa i Sprawiedliwości, sprawili, że przez kraj przetoczył się pochód szkieleatów. Wydarzenia minionej epoki ożyły, a uwagę ludzi zaczęły absorbować fakty sprzed kilku lub kilkunastu lat – stan wojenny, porozumienia Okrągłego Stołu, afera Rywina. Rozliczenie przeszłości stało się ważniejsze od budowania wspólnej, lepszej przyszłości.

Ratyfikacja traktatu reformującego wprowadza Europę w nowy etap. Kompromis państw członkowskich sprawił, że Wspólnota Europejska może się skupić na budowaniu własnej potęgi, na realizacji własnych celów. Nowy etap Unii jest

także nowym etapem Polski. Po zmianie rządów upiory przeszłości ucichły, a nowa władza zdaje się rozumieć, że trzeba dbać o przyszłość, żyć przyszłością.

Żaden kraj członkowski nie jest w stanie w pojedynkę sprostać wszystkim wymaganiom i zrealizować wszystkich celów. Siła i pozycja Europy w świecie zależy od jedności wszystkich państw Wspólnoty, a także wiary i determinacji przywódców europejskich. Wydaje się, że obecne władze nauczyły się choćby od poprzedniej ekipy, na czym polega złe rządzenie. A wyciągając odpowiednie wnioski z historii, będą mogły wnieść duży wkład w budowę wspólnej Europy. ■

Sezon narciarski 2007/2008 rozpoczęty, czyli...

Zapłacić za to, że ... się nie wraca

Agnieszka Proszak

Górale jak wiadomo zimy się nie boją, bo w ich przypadku śnieg to żyła złota. Sezon narciarski 2007/2008 rozpoczęty. Baza noclegowa, w dużej mierze rozbudowana, została przygotowana, właściciele hoteli, pensjonatów, schronisk i prywatnych kwater czekają na narciarzy, którzy pieniądze zostawiają nie tylko u nich, ale również u właścicieli wyciągów, instruktorów narciarstwa i snowboardingu, w skiserwisach i miejscowych punktach gastronomicznych.

Wszyscy prześcigają się w obniżaniu cen i szykowaniu dodatkowych wygód. Ośrodki narciarskie reklamują się na billboardach w większych miastach Polski, a my zastanawiamy się, czy lepsza Krynica czy Zakopane, gdzie będą mniejsze kolejki i tańsze wyciągi.

Skończyły się czasy papierowych karnecików dziurkowanych przez dyżurującego przy bramce pracownika obsługi wyciągu. Technika dotarła również do Polski. Dla nikogo nie jest już zaskoczeniem karta magnetyczna, która wymyślono po to, by ułatwić życie także

narciarzom (papierowy karnecik łatwo było zgubić). Miłośnicy „białego szaleństwa” szybko polubili karty, bo to trwalszy i wygodniejszy w użyciu ekwiwalent papierowych karteczek z dziurką. Gorzej było z właścicielami wyciągów – im karty dodawały pracy. Zamiast zarobić na dziurze, trzeba było najpierw przyjąć zastaw za kartę, potem nabić ją punktami, kilkakrotnie uzupełnić, na koniec zwrócić pieniądze za niewykorzystane punkty i kaucję za kartę.

W Szczyrku jednak szybko uporano się z owym problemem. Zamiast zarabiać „na dziurze” – zarabia się na przerwie. Na wypadek ewentualnych zażaleń przy kasie widnieje informacja, która sugeruje, że należy się zastanowić nad liczbą zakupionych punktów, gdyż te niewykorzystane nie podlegają zwrotowi. Obok tej informacji wisi dodatkowa podpowiedź, by zastanowić się nad tym odpowiednio wcześniej, bo od godz. 16.15 do 16.45 kasa jest nieczynna. Pół godziny przerwy dla narciarza to strata duża, więc każdy sprytny przed przerwą dokupi punktów, by

nie sterczeć na stoku jak kołek, patrząc, jak inni jeżdżą.

Nie taki jednak narciarz sprytny jak właściciel. Okazuje się bowiem, że przerwa obowiązuje nie tylko w kasie, ale również w działaniu wyciągu. Ci zatem, którzy byli sprytni i zakupili punkty z zapasem, mają dwa wyjścia: udać się do miejscowego bufetu i wydać pieniądze na kawę lub grzane wino albo pojechać do domu wcześniej z kartą nabitą punktami. Zarabianie na przerwie ma więc dwa oblicza: jeśli nie na gastronomii, to na karnecie ważnym tylko sezon.

Dodatkowym atutem drugiej wersji jest niezwrócona karta, za którą sprytny narciarz zostawił 25 zł kaucji, czyli 15 zł więcej niż w innych ośrodkach narciarskich w Polsce. W czasach globalizacji i konsumpcji, gdy Zachód prześciga się w tym, jak zaspokoić każdą zachciankę klienta i bardziej trafić w jego gusty, by zechciał on powrócić w to samo miejsce i wydać jeszcze więcej – „biznesmeni” ze Szczyrku dbają o to, żeby wrócić do nich koniecznie lub chociaż... zapłacić za to, że się do nich nie wraca. ■

Widać, że Ludwik Dorn jako wytrawny polityk i ideolog oraz człowiek niezwykle uparty tak łatwo się nie podda...

A może emigracja wewnętrzna?

Jeśli, co bardzo prawdopodobne, zostanę z mojej partii wykluczony, to w sumieniu pozostanę nadal jej członkiem i nadal, używając wszelkich środków, będę robił wszystko, by przeprowadzono w niej wewnętrzną reformę, która spotęguje jej siłę¹.

Ludwik Dorn

Grzegorz Makuch

Jest rok 1990. Ludwik Dorn wraz z Jarosławem Kaczyńskim zakłada Porozumienie Centrum. Po zwycięskich dla Lecha Wałęsy wyborach prezydenckich Dorn pracuje już w jego kancelarii, ale tylko do momentu konfliktu prezydenta z braćmi Kaczyńskimi. W 1992 r. zostaje wiceprezesem PC, a w 1995 r. rzecznikiem prasowym kandydata na prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Od 1997 r. nieprzerwanie do dzisiaj Ludwik Dorn jest posłem na sejm. W 2001 r. wraz z Jarosławem i Lechem Kaczyńskimi tworzy nową partię, Prawo i Sprawiedliwość, obejmując od razu funkcję wiceprzewodniczącego. Po podwójnym wyborczym sukcesie PiS w 2005 r. zostaje ministrem resortu Spraw Wewnętrznych i Administracji i wiceprezesem Rady Ministrów. Od tej chwili staje się formalnie „pierwszym po Jarosławie Kaczyńskim”.

Jednak 6 lutego 2007 r. Dorn składa dymisję z funkcji wicepremiera i ministra, którą premier przyjmuje. Oficjalnie za powód odejścia podaje się różnicę zdań z Jarosławem Kaczyńskim w „ważnej sprawie związanej z funkcjonowaniem resortu”. Dorna zastępuje Janusz Kaczmarek, dotychczasowy prokurator krajowy, on sam otrzymuje funkcję wicepremiera „bez teki”. W kwietniu 2007 r. Ludwika Dorna ubiegającego się o urząd Marszałka Sejmu Prezydent RP odwołuje ze składu Rady Ministrów i z urzędu wiceprezesa Rady Ministrów. Tego dnia Dorn zostaje marszałkiem Sejmu. Bardzo szybko opinia publiczna przekonuje się, że Dorn ma wysoce indywidualny stosunek do świata i życia, którego wcale nie zamierza zmieniać. O ile przykrótkie spodnie kupione w lumpeksie z chęcią zamienia na dobrej jakości garnitury, o tyle z osobliwego podejścia do otocze-

nia i z własnych poglądów za nic nie potrafi zrezygnować.

Zaczął się od propozycji wzięcia krnąbrnych lekarzy w kamasze oraz nazwania jednego z dziennikarzy „Financial Times” *burą suką*. Oczywiście, nikt nie został za to przeproszony, tłumaczono to kontestatorską naturą i niechęcią bycia *medialną małpą* marszałka niższej izby parlamentu.

Potem dowiedzieliśmy się o tragedii dwojga policjantów, którzy zginęli, odwożąc, w charakterze taksówkarzy, do domu w Siedlcach dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego w MSWiA. Czarne chmury nad głową „trzeciego bliźniaka” zaczęły się jednak dopiero zbierać. Kilka dni później wyszło na jaw, że Marek Sumracz, wiceszef MSWiA, wysłał dwóch policjantów po... hamburgery dla minister pracy i polityki społecznej, a prywatnie swojej znajomej, Elżbiety Rafalskiej. I z tego Dorn nie miał się najmniejszej ochoty tłumaczyć, mimo że wydarzenia rozgrywały się w podległym mu resorcie. Zachowanie podwładnego określił jedynie jako „nieroztropne”.

7 lutego 2007 r. nowym szefem MSWiA zostaje Janusz Kaczmarek. Dorn traci stanowisko, bo w sporze kadrowym z resortem sprawiedliwości opowiada się za ludźmi, o których „Rzeczpospolita” pisała, że „mają niejasne powiązania ze ściganym listem gończym byłym senatorem Henrykiem Stokłosą”. Główny zainteresowany, po dymisji następcy dymisjonowanego, czyli Kaczmarka, mówi: – *Minister Ziobro działa w dobrej wierze, wykańczając mnie, ale to pan Kaczmarek prowadził bardzo zręczną intrygę.*

Był to pierwszy poważny zgrzyt między Ludwikiem Dornem i Jarosławem Kaczyńskim, a prasa odnotowała

poważne pęknięcie w PiS-owskim monolicie. Jednak Dorn wciąż pozostawał wierny partii. Oświadczył: – *W związku z całkowicie bezpodstawnymi spekulacjami w środkach masowego przekazu, iż zamierzam wystąpić z partii Prawo i Sprawiedliwość, informuję, że byłem, jestem i będę członkiem PiS-u niezależnie od tego, czy zostanę odwołany z funkcji wiceprezesa Rady Ministrów.* Niebawem Dorn przestać być wiceprezesem PiS-u, zaproponowano mu jednak objęcie stanowiska Marszałka Sejmu (wbrew jego woli, o czym wielokrotnie mówił).

Niełatwa osobowość Ludwika Dorna spowodowała, że pierwszą jego decyzją jako marszałka stało się ograniczenie liczby dziennikarzy na Wiejskiej i ich podział na grupy – specyficznie nazwane: *patrycjusze, ekwici i plebejusze*. Przecieraliśmy oczy ze zdumienia, kiedy w Sejmie marszałek zjawił się ze swym... psem, Sabą. Na prześmiewcze reakcje innych posłów nie trzeba było długo czekać. Potem było spotkanie następcy Dorna – Kaczmarka – w hotelowym korytarzu z Krauzem i... ogłoszenie przedwczesnych wyborów.

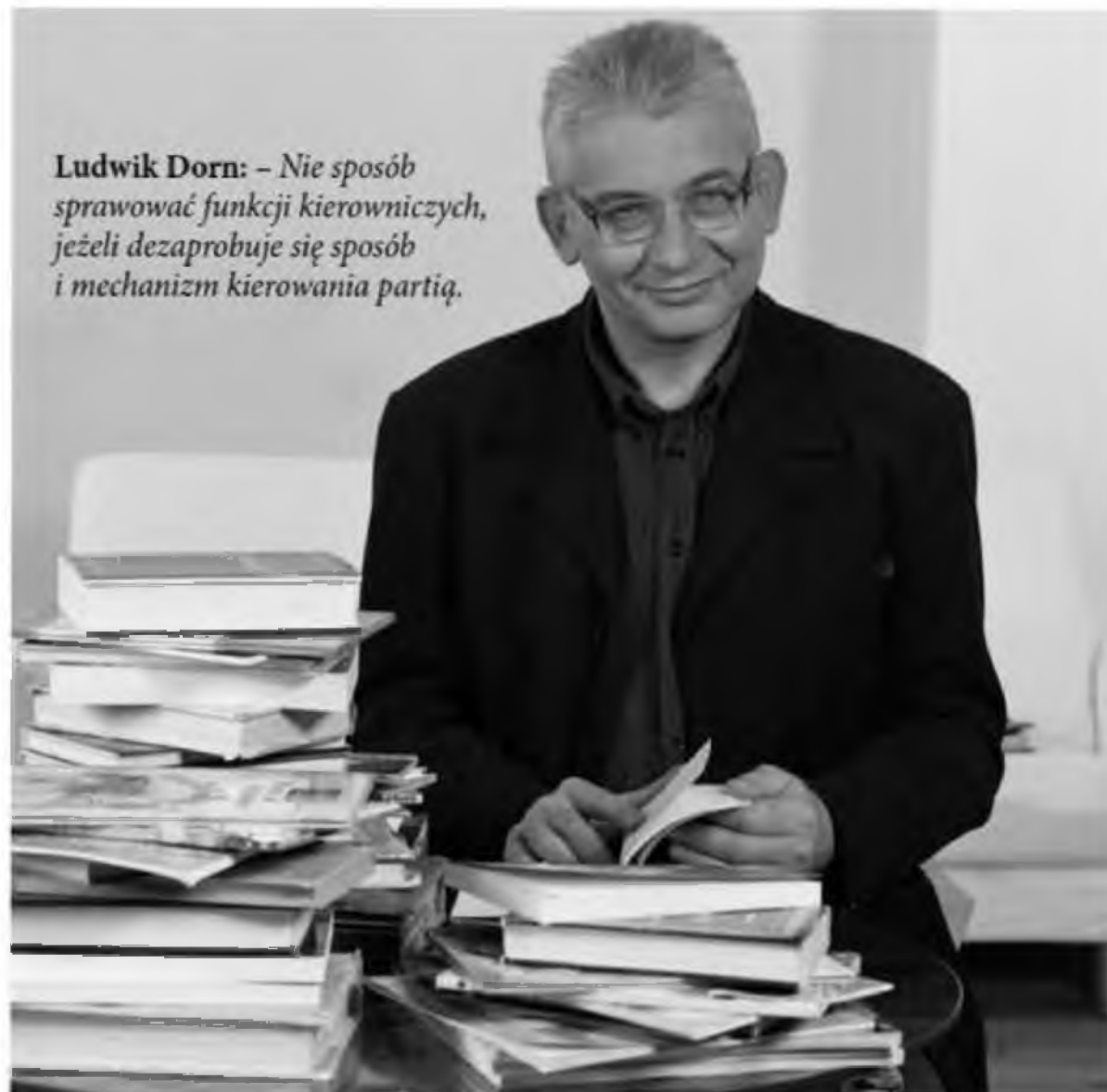
Prawdziwe jednak problemy Ludwika Dorna dopiero miały się zacząć. Dając upust swojemu ekscentryzmowi, podał on do sądu – w trybie wyborczym – Komitet Wyborczy Lewicy i Demokratów za rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji, jakoby Saba zniszczyła meble w MSWiA. Następnie napisał na blogu *List otwarty do polskiego Wykształciucha*, okrzyknięty mieszkanką złośliwości, pochlebstw, kpin i umizgów do wyborców. Kilka dni później wszyscy mogli przeczytać *List otwarty do wyborcy obdarzonego zdrowym rozumem*, w którym wszelkie zasługi przypadły rządowi PiS-u, oraz *List otwarty do polskiego złodzieja*

i aferzysty kończący się słowami *Bez poważania* Ludwik Dorn, Marszałek Sejmu, Wiceprezes PiS. Tu z kolei autor bronił prawa CBA do stosowania prowokacji, ponieważ – *My uzbroiliśmy uczciwość. Zakładamy i zakładać będziemy łapówkarzom podsłuchy*. Pytanie tylko, dlaczego sprawa ministra sportu Tomasza Lipca wyszła na jaw dopiero po wyborach, a Beaty Sawickiej przed... Potem były internetowe podziękowania po przegranych wyborach i propozycja stworzenia z PO koalicji konstytucyjnej.

W *Wpisie o sytuacji partii i własnej* Dorn podaje z kolei przyczyny rezygnacji swojej, jak i Michała Ujazdowskiego, a także Pawła Zalewskiego, z funkcji wiceprezesów partii: – *Nie sposób sprawować funkcji kierowniczych, jeżeli dezaprobuje się sposób i mechanizm kierowania partią*.

Tym samym „trzeci bliźniak” znalazł się na równi pochyłej... Wszedł w otwarty konflikt z Jarosławem Kaczyńskim, dyskusja i wymiana zdań obu panów odbywała się za pomocą mediów. Były [...] *groteskowe żądania rezygnacji z mandatów poselskich i powstrzymania się od działalności publicznej, zawieszenie w prawach członka, postępowanie dyscyplinarne*. Dorn odpowiadał: – *Szczerze mi przykro, że dwie z tych osób do sporu wewnątrzpartyjnego wplątały swoją sukę Sabę. Ze smutkiem odbieram wezwania do tego, bym zszedł z obranej drogi. Kiedy słyszałem je z ust niedysponowanego eksprezydenta Kwaśniewskiego, do głowy mi nie przyszło, że już niedługo do identycznej frazeologii i retoryki odwoła się polityk i człowiek, którego nie słychanie wysoko cenię i poważam i będę w przyszłości cenil oraz poważał, niezależnie od tego, co zajdzie między nami*.

Spór w mediach trwał w najlepsze mimo dżentelmeńskiej umowy między Dornem i Kaczyńskim, że nie będą ze sobą już w ten sposób walczyć. Za jakiś czas prezes PiS posadził byłych zastępców o działalność rozłamową. Dorn nie mógł tego nie skomentować: – *Nie wykluczam, że pan prezes trochę się zagalopował i powiedział parę nieprzemyślanych zdań. Jeżeli jednak ów błąd świadomie powtórzy na kongresie, jeśli zarzuci nam złe, szkodliwe intencje i dążenie do rozłamu, to niestety, wraz z kolegami, będę musiał na to natychmiast odpowiedzieć. Sami w listach do prezesa i delegatów pisaliśmy,*



Ludwik Dorn: – *Nie sposób sprawować funkcji kierowniczych, jeżeli dezaprobuje się sposób i mechanizm kierowania partią*.

że Jarosław Kaczyński popełnia ciężkie polityczne błędy, które w konsekwencji osłabią naszą partię.

Podczas kongresu PiS Jarosław Kaczyński utrzymał przywództwo mimo wielu głosów sprzeciwu i wstrzymujących się. Paweł Zalewski i Kazimierz Michał Ujazdowski odeszli z partii, jednak Ludwik Dorn pozostał i nawoływał innych do trwania i walki dla wspólnego dobra partii.

Po sześciu latach od założenia Prawo i Sprawiedliwość nie jest już monolitem. Dorn tak pisze na blogu: – *Nie traktuję naszych wspólnych listów i memoriałów jako incydentu, nad którym można przejść do porządku i pominąć je milczeniem. Traktuję je jako początek procesu, który powinien doprowadzić do racjonalnie rozłożonej w czasie zmiany w sposobie działania mojej partii*. Jak widać, przyjmuje za swoje słynne już słowa Leszka Millera i postanawia pokazać, jak kończą prawdziwi mężczyźni.

Przed wszystkim kończą to, co zaczęli. W 2001 r. Dorn współtworzył podwaliny partii, której czuje się współojcem i której dobro leży mu na sercu. Oczywiście, dzieło przemian w PiS nie zostało jeszcze zakończone, ba, ono do-

piero się zaczyna. Ale sam fakt, że Dorn mimo wszystko walczy o swą partię, jest godzien podziwu. Na jednym z wpisów blogowych cytuje Maksa Webera: *Tylko ten, kto potrafi powiedzieć „mimo wszystko”, zasługuje na miano polityka*. Max Weber wymienia trzy cechy, którymi powinien się odznaczać dobry polityk: odpowiedzialność za to, co robi, namietność w realizowaniu działań (gdyż politykę robi się gorącym sercem i chłodnym umysłem) i wyczucie w ocenie oraz dystans¹. Można ekscentrycznego eksmarszałka sejmu, piszącego bajki dla dzieci, lubić lub nie, ale na pewno trudno mu odmówić refleksji na temat tego, czym jest polityka.

Jaka więc droga czeka Ludwika Dorna? Na pewno kręta i wyboista. Widać, że jako wytrawny polityk i ideolog oraz człowiek niezwykle uparty tak łatwo się nie podda, ale też w pojedynkę nie zmieni Prawa i Sprawiedliwości (mimo wszystko nie został z niej usunięty). Może zatem Dornowi pozostaje emigracja wewnętrzna? ■

¹ www.dorn.blog.onet.pl.

² Max Weber, *Polityka jako zawód i powołanie*, Niezależna Oficyna Wydawnicza, Kraków 1989, s. 9.



Powstało pięć nowych komisji

Zmiany na samorządowym podwórku...

Gabriela Kózka

Samorząd Studentów Krakowskiej Szkoły Wyższej, mimo prężnego działania nie tylko w uczelnianych murach, ale i na polu międzyuczelnianym, wprowadził zmiany w swych strukturach. Powołanie pięciu komisji ma na celu przede wszystkim usprawnienie prac na poszczególnych polach jego funkcjonowania.

Komisje powstały głównie po to, by aktywizować działania w ramach Samorządu Żaków Krakowskiej Szkoły Wyższej. Nie są one bowiem jednostkami, w których będą pracować członkowie Samorządu, lecz studenci, a poszczególni członkowie Rady Uczelnianej mają prace w komisjach jedynie koordynować. Komisje stoją otworem przed wszystkimi studentami KSW.

Od kilku tygodni działa **Komisja ds. Informacji i Promocji**, której głównym zadaniem jest dostarczanie studentom informacji na temat prac oraz projektów Samorządu. Z kolei **Komisja Spraw Zagranicznych** ma się zająć prowadzeniem dialogu oraz utrzymywaniem kontaktu ze studentami zagranicznymi, przebywającymi na naszej uczelni, samorządami studenckimi w Polsce i za granicą, a także z międzynarodowymi organizacjami studenckimi. Innym celem jest dążenie do zapewnienia naszym studentom jak najszerzej informacji o dostępnych stypendiach zagranicznych i innych możliwościach międzynarodowego rozwoju.

Ponadto powołano **Komisję ds. Kultury**, której działalność skupia się wokół organizowania szeroko rozumianego życia studenckiego (koncerty, wystawy itp.), oraz **Komisję ds. Nauki i Dydaktyki**. Jej zadaniem jest czuwanie nad sprawnym działaniem kół naukowych. Dodatkowo zajmuje się koordynacją działań wszystkich Kół Naukowych działających w KSW – sprawuje swoisty patronat nad wszelkimi imprezami o charakterze naukowym, jak konferencje, debaty itp.

Jednym z jej najważniejszych celów jest stworzenie warunków do swobodnego przepływu wiedzy, ludzi i doświadczeń między zaprzyjaźnionymi uczelniami. Pracę rozpoczęła również **Komisja ds. Bezpieczeństwa**, która zajmuje się koordynowaniem prac Samorządu w ramach Zintegrowanego Systemu Bezpieczeństwa. Jej prace ściśle związane są ze współpracą z Krakowską Komendą Policji oraz Pełnomocnikiem Kanclerza ds. Bezpieczeństwa.

Powstanie tych komisji nie jest jednak tylko ułatwieniem prac Samorządu czy wprowadzeniem przejrzystości w jego działaniach. Fundamentalną podstawą ich istnienia pozostaje bowiem zachęcenie Was, drodzy studenci, do podjęcia aktywnej pracy w ramach Samorządu Studentów Krakowskiej Szkoły Wyższej. To ponadto szansa dla Was, by zarówno w rzeczywisty sposób kreować nowy wizerunek Samorządu, a tym samym naszej uczelni, jak i wprowadzić powiew świeżości. Nowi ludzie to przede wszystkim nowe pomysły, które mogą doprowadzić do zmian oraz pokazać inne spojrzenie na sprawy dotyczące wszystkich studentów KSW.

Zachęcamy do współpracy i dzielenia się własnymi odczuciami i pomysłami. Nie boimy się krytyki, jeśli będzie ona konstruktywna i ukazująca inne lepsze rozwiązania. Więcej informacji znajdziecie na stronie www.samorzad.ksw.edu.pl



Działalność w kołach naukowych to szansa na samorealizację oraz sposób na pożyteczne spędzenie wolnego czasu...

Kariera kołem się toczy

Iwona Faron
Magdalena Zakrzewska

Czy być członkiem koła naukowego to powód do wstydu? Dla większości studentów, niestety, tak. Przyczyną jest błędne przekonanie, że należenie do takiego koła wiąże się wyłącznie z przyswajaniem suchej wiedzy.

Reprezentanci Targów Kół Naukowych Krakowskiej Szkoły Wyższej, które odbyły się 6 grudnia 2007 r., udowodnili, że działalność w takich studenckich organizacjach to nie tylko ciężka praca i dodatkowe obowiązki, ale również świetna zabawa i możliwość poznania wielu ciekawych ludzi. To szansa na samorealizację oraz sposób na pożyteczne spędzenie wolnego czasu. Praca i aktywność w takim kole może zaowocować niezbędnym doświadczeniem, którego wymagają wszyscy pracodawcy. Jako „Pokolenie CV” powinniśmy brać udział w podobnych inicjatywach i zachęcać do tego innych młodych, ambitnych i kreatywnych ludzi. Na pewno niewielu studentów ma świadomość istnienia kół naukowych w murach naszej uczelni. Na targach swój dotychczasowy dorobek przedstawiło aż pięć z nich.

Ciekawe i barwne stanowisko stworzyli członkowie **Koła Naukowego Prawa Karnego KSW**. To oni pozbawili wolności pilnie poszukiwanego św. Mikołaja. Do tej pory nieznane są przyczyny jego uwięzienia. Znane są natomiast szczegóły działalności Koła. Funkcjonują już czwarty semestr, nieprzerwanie od 2006 r. W semestrze zimowym roku akademickiego 2007/8 spotkania Koła odbywają się w poniedziałki w godz. 13-14:30, w sali A242. Prowadzone są dyskusje m.in. na tematy dotyczące nadzwyczajnego złagodzenia kary i prawa karnego kanonicznego. Dla członków władze koła organizują wyjścia, np. do prosektorium z możliwością uczestnictwa w sekcji zwłok.

Swoją skromną obecność zaznaczyło **Koło Naukowe Administracji**. Przedstawiciele szczególnie zachęcali do współpracy z powodu małej ilości działających w nim studentów.

Wśród splątanych kabli światel, kamer i mikrofonów swoją działalność przedstawiło niedawno powstałe **Koło Naukowe Dziennikarzy Telewizyjnych „U Frycza”**. Mają już na koncie realizowany dla TVP3 Kraków program młodzieżowy „Pokolenie

UE”. Tym razem zapraszali do współdziałania w tworzącej się telewizji internetowej.

Warto również wspomnieć o obecności **Studenckiego Koła Naukowego Menedżer**, które działa od czerwca 2006 r. To organizatorzy akcji „Zeszyty naukowe KSW”, „Inkubator” i wielu konferencji wyjazdowych.

Pod enigmatyczną nazwą „**Benignus**” kryje się **Międzywydziałowe Koło Studentów KSW**, powstałe w celu wspierania organizacji pozarządowych. Członkami koła są studenci różnych wydziałów i specjalności, co daje możliwość niesienia pomocy w szerokim zakresie. Organizacja wysyła studentów na wolontariat i przygotowuje opracowania i raporty.

Po sześciogodzinnej prezentacji kół naukowych chętni udali się na multimedialne prezentacje przygotowane przez poszczególne koła. Członkowie przedstawili dotychczasowy dorobek i podzielili się swoimi planami związanymi z przyszłą działalnością.

Wszystkich zainteresowanych odsyłamy do oficjalnej witryny KSW (www.ksw.edu.pl), gdzie znajduje się spis stron internetowych wszystkich uczelnianych kół naukowych. ■

KSW pierwszą w Polsce uczelnią z własnym laboratorium

ECDL CAD, czyli Europejski Certyfikat Umiejętności Komputerowych

Zapewne nie wszyscy wiedzą, że Krakowska Szkoła Wyższa posiada własne laboratorium ECDL CAD, gdzie zdawać można egzaminy uprawniające do otrzymania Europejskiego Certyfikatu Umiejętności Komputerowych. I to nie tylko w stopniu podstawowym bądź zaawansowanym, ale też w zakresie komputerowego wspomagania projektowania (CAD).

Bartłomiej Misiniec

Europejski Certyfikat Umiejętności Komputerowych honorowany jest w 146 krajach i można go zdawać w 38 językach. Certyfikaty posiada już 6,5 mln ludzi na świecie. Inicjatywa ECDL powstała w roku 1992 w Finlandii. Certyfikat ten zaświadcza, że jego posiadacz opanował podstawowe umiejętności obsługi mikrokomputerów i że potrafi przy ich pomocy realizować takie zadania, jak edycja tekstów, wykorzystanie arkusza kalkulacyjnego czy sieci komputerowej. Kontrola tych umiejętności odbywa się na dwóch poziomach.

ECDL Core – poziom podstawowy

ECDL Core to niezbędne minimum w zakresie obsługi komputerów na europejskim rynku pracy. Poziom stanowi 7 egzaminów (1 teoretyczny i 6 praktycznych):

1. Podstawy technik informatycznych.
2. Użytkowanie komputerów.
3. Przetwarzanie tekstów.
4. Arkusze kalkulacyjne.
5. Bazy danych.
6. Grafika menedżerska i prezentacyjna.
7. Usługi w sieciach informatycznych.

Kolejność zdawania jest dowolna, lecz w okresie najwyżej 3 lat.

ECDL Advanced – poziom zaawansowany

Egzaminy ECDL Advanced można zdawać wyłącznie w centrach egzamina-





Fot. Mirosław Zak

cyjnych ECDL-A przed akredytowanymi egzaminatorami. Aby uzyskać certyfikat na poziomie zaawansowanym, należy pomyślnie przejść przez układ czterech egzaminów praktycznych:

1. Przetwarzanie tekstu, poziom zaawansowany.
2. Arkusze kalkulacyjne, poziom zaawansowany.
3. Bazy danych, poziom zaawansowany.
4. Grafika menedżerska i prezentacyjna, poziom zaawansowany.

Każdy egzamin zdawany jest niezależnie od pozostałych. Po pomyślnym zaliczeniu każdego otrzymuje się oddzielny Certyfikat ECDL-A z określonego modułu. Osoba, która skompletuje 4 Certyfikaty ECDL-A w okresie nie dłuższym niż 3 lata, może uzyskać Certyfikat ECDL Ekspert (certyfikat w formie karty plastikowej ze zdjęciem).

ECDL CAD

Certyfikat ECDL CAD (Computer Aided Design – Komputerowe Wspomaganie Projektowania) zaświadcza o posiadaniu podstawowych umiejęt-

ności wykorzystania narzędzi CAD do tworzenia rysunków dwuwymiarowych (2D). Do jego uzyskania potrzebne jest pozytywne zaliczenie egzaminu, który weryfikuje wiedzę w zakresie 2D CAD, potrzebną zarówno w pracy zawodowej, jak i coraz częściej w życiu codziennym każdego obywatela Europy.

Wszystkie certyfikaty zachowują ważność bezterminowo. Oprócz tych wymienionych, istnieje też możliwość uzyskania ECDL e-Citizen, który zaświadcza, iż jego posiadacz potrafi sprawnie funkcjonować w nowoczesnym e-społeczeństwie.

Szansa dla studentów

Idea ECDL wyszła naprzeciw wymaganiom pracodawców, którzy uzyskują pewność, że pracownicy będą efektywnie wykorzystywać możliwości, jakie oferuje technologia informatyczna, gdyż certyfikaty stanowią rzetelne świadectwo rzeczywistych kwalifikacji. Zwiększają też możliwości znalezienia zatrudnienia, gdyż obecnie umiejętności komputerowe mają coraz większe znaczenie we wszystkich dziedzinach życia.

Jednocześnie warto wiedzieć, że zgodnie z Rozporządzeniem Ministra

Nauki i Szkolnictwa Wyższego z dnia 12 lipca 2007 r. student posiadający certyfikat ECDL może być zwolniony z obowiązku udziału w zajęciach z zakresu technologii informacyjnej.

Dodatkowo 20 września 2007 r. Rada Ministrów przyjęła Program szkoleń z zakresu wykorzystywania technologii informatycznych dla urzędników administracji rządowej i samorządowej – CORA (Centrum Otwartych Rozwiązań dla Administracji), którego celem jest transformacja polskiej administracji publicznej w nowoczesną e-administrację. Program przewiduje szkolenia urzędników w zakresie umiejętności zgodnych z ECDL, który jest jednym z kilku uznawanych przez CORA certyfikatów zewnętrznych.

Zatem dla studentów, którzy by chcieli pracować w instytucjach administracji publicznej, wspomniany certyfikat stanowić będzie wkrótce nie tyle szansę, ile raczej wymóg. Zresztą i tak warto wykorzystać to, że na naszej uczelni posiadamy laboratorium ECDL CAD, i podczas okresu studiów włączyć do swojego CV informację o posiadaniu powszechnie honorowanego Europejskiego Certyfikatu Umiejętności Komputerowych. ■

– Na Zachodzie nikt by nie wylał oleju do zlewomywaka...

Rozmowa z **Jakubem Smoleniem**, koordynatorem Greenpeace na Śląsk

Szymon Wróbel

WKrakowie wielkie zamieszanie. Jacyś faceci rozwieszają transparent na jednym z krakowskich hoteli, gdzie właśnie odbywa się konferencja na temat Bałtyku. Na dole czeka już na nich policja. Wszystko pokazują stacje TV. Kogoś legitymują, kogoś aresztują...

Dostaję telefon od znajomego, który pyta, czy nie wiem, co się dzieje. Potem kolejny od Bartka, że wywiad będę robił z kim innym, bo szef jest w areszcie i składa wyjaśnienia. Już wiem, co się dzieje – to akcja Greenpeace...

Na konferencji KSW pojawia się koordynator Greenpeace na Śląsk **Jakub Smoleń** z kilkoma działaczami. Po konferencji siadamy przy stoliku w klubie studenckim. Włączam dyktafon i Kuba próbuje przekonać mnie i was, że Greenpeace jest OK...

Szymon Wróbel: – Jak to się stało, że zostałeś koordynatorem Greenpeace na Śląsk?

Jakub Smoleń: – Od zawsze bardzo chciałem się udzielać w jakiejś organizacji ekologicznej. Napisałem do jednej, ale po dwóch tygodniach nie przychodziła żadna odpowiedź. Pisałem do następnej i nic... Aż w końcu napisałem do Greenpeace i ówczesny koordynator odpisał mi, że jest spotkanie. Poszedłem tam, było pięć osób. Jedna z nich powiedziała, że jest koordynatorem i chce zrezygnować, więc grupa się rozpadnie. Przemyślałem w domu wszystko i uznałem, że mógłbym tę grupę przejąć. Napisałem do krajowego koordynatora, no i... wszystko się dobrze potoczyło.

Sz. W.: – Co wpłynęło na to, że poczułeś potrzebę przystąpienia do takiej organizacji?

J.Ś.: – Miałem w sobie dużo energii, a także sporo wolnego czasu, więc chcia-

łem zrobić z tym coś pożytecznego, a nie tylko siedzieć w domu.

Sz. W.: – Ale dlaczego akurat organizacja ekologiczna?

J.Ś.: – Moja siostra udziela się w *Amnesty International*, a ja chciałem robić coś innego...

Sz. W.: – Tak to bywa z rodzeństwami... „*Kiedy wycięte zostanie ostatnie drzewo, ostatnia rzeka zostanie zatruta i zginie ostatnia ryba, odkryjemy, że nie można jeść pieniędzy*” – to ciekawy cytat z waszej strony. Chcecie nim zwrócić uwagę na niską świadomość ekologiczną wśród ludzi?

J.Ś.: – Tak. Ta świadomość jest bardzo niska. Większość ludzi w ogóle nie szanuje przyrody. Najlepszy przykład to Dolina Rospudy...

Sz. W.: – Do niej przejdziemy później...

J.Ś.: – ...dobrym przykładem jest też segregacja śmieci. Cały Zachód oddaje śmieci za darmo, posegregowane. Natomiast my robimy to za pieniądze i nie sortujemy. Na Zachodzie nikt by nie wylał oleju do zlewomywaka, u nas jest to normalne...

Sz. W.: – Obecnie prowadzicie kilka kampanii, ale gdybyś miał wskazać jedną, która jest dla ciebie najważniejsza...

J.Ś.: – ...każda kampania ma swojego kampaniera i dla niego ważna jest ta, którą się obecnie zajmuje. Dla mnie natomiast najważniejszą pozostaje sprawa Doliny Rospudy, bo zakochałem się w tym miejscu...

Sz. W.: – Skoro po raz kolejny do niej nawiązałeś, porozmawiajmy o Rospudzie. Jesteś osobą, która tam była,

„walczyła”... Jak byś skomentował całą sprawę?

J.Ś.: – To jest tak, jakbym znajdował się w jakimś horrorze. Strasznym koszmarze, ale ciągle mam nadzieję, że się z niego obudzę.

Sz. W.: – W jaki sposób przekonałbyś ludzi, którzy nie wiedzą, co się tam dzieje, żeby stanęli po waszej stronie?

J.Ś.: – Po prostu zabrałbym ich tam, żeby zobaczyli to miejsce i jego magię. A potem nagle przedstawił wizję, że przez to miejsce ma przebiegać autostrada... Poczuli by się tak, jak ja teraz.

Sz. W.: – Odejdźmy od Rospudy, choć skoro to takie magiczne miejsce, zapewne sam tam wrócę. Greenpeace to organizacja, która działa w ok. 40 krajach od 1971 r. Co byś zaliczył do jej największych sukcesów?

J.Ś.: – Na pewno zakaz przeprowadzania prób jądrowych na morzach i ograniczenie połowów wielorybów. Ale tak naprawdę prowadzimy całą masę małych, lokalnych kampanii i każdą z nich, jeśli się uda wygrać, zaliczamy do sukcesów.

Sz. W.: – A co ostatnio wygraliście w Polsce?

J.Ś.: – Są takie kampanie, które można powiedzieć, że wygraliśmy w 75 procentach, a to, co się teraz dzieje, to już etap końcowy. Myślę, że można do tego zaliczyć Rospudę oraz kampanię toksyczną...

Sz. W.: – Co według ciebie jest obecnie największym zagrożeniem dla ekologii?

J.Ś.: – Wymienię dwa takie zagrożenie. Emisja CO₂ i bardzo konsumpcyjny styl życia...

Sz. W.: – Uczestniczyłeś w głośnej akcji Greenpeace we Francji. Opowiedz coś o tym...



Jakub Smoleń (w środku):

– Od zawsze bardzo chciałem się udzielać w jakiejś organizacji ekologicznej.

Fot. Mirosław Żak

J.Ś.: – Dostałem zaproszenie i wyjechałem do Francji. Tam na miejscu została nam przybliżona idea akcji. Chodziło o to, że francuski rząd chciał wprowadzić nowe reaktory ciśnieniowe, a naszym zadaniem było włamanie się do elektrowni atomowej. Mieliśmy napisać na 164-metrowym kominie zdanie, które w wolnym tłumaczeniu znaczy „Europejskie reaktory atomowe = niebezpieczeństwo”.

Sz. W.: – Historia jak z filmu, a jej dalszy ciąg jest taki, że zostałeś aresztowany...

J.Ś.: – Tak. Zostałem sprowadzony na dół przez komandosów i przesiedziałem 24 godziny w więzieniu...

Sz. W.: – Jak sprawa potoczyła się dalej?

J.Ś.: – Po kilku miesiącach dostałem wyrok trzech miesięcy na dwa lata w zawieszeniu.

Sz. W.: – To jest twój pierwszy wyrok?

J.Ś.: – Tak. Na szczęście pierwszy.

Sz. W.: – Planujecie w najbliższym czasie jakąś akcję?

J.Ś.: (po chwili zastanowienia): – Na to pytanie nie odpowiem.

Sz. W.: – Jak jesteście finansowani?

J.Ś.: – Nie finansują nas firmy, rządy ani Unia Europejska, która powstała po to, żeby konkurować z USA. Cały nasz budżet to po prostu wpłaty ludzi dobrej woli, którzy co miesiąc jakąś sumą zasilają nasze konto. Tych ludzi trochę jest, więc możemy działać.

Sz. W.: – A jak twoim znajomi reagują na to, że zostałeś koordynatorem Greenpeace?

J.Ś.: – Niektórzy się śmieją i nazywają mnie ekoterrorystą albo podbiegają do mnie i mówią, że się wysadzą (śmiech). Ale ogólnie zawsze są pod dużym wrażeniem, jak wracam z jakiejś akcji i opowiadam, gdzie byłem i co zrobiłem... Wiesz, właśnie mi się przypomniało, że byłem jeszcze na jednej fajnej akcji w Niemczech, w Berlinie.

Sz. W.: – Jak tam było?

J.Ś.: – To była akcja, która ostatecznie nie doszła do skutku. W Berlinie odbywała się konferencja na rzecz obniżenia emisji CO₂ i mieliśmy tam wybudować z lodu napis „Nie ma kompromisu w obronie klimatu”. Ale zostaliśmy wcześniej przechwyceni przez policję...

Sz. W.: – W jaki sposób was nakryli?

J.Ś.: – Podsluchali rozmowę telefoniczną kampaniera...

Sz. W.: – Mają taką możliwość?

J.Ś.: – Sądzę, że jesteśmy cały czas podsłuchiwanie przez policję. Nawet w Polsce.

Sz. W.: – Mówiąc pół żartem, pół serio, to trochę niebezpiecznie zdradzać w naszym kraju, że jest się podsłuchiwanym...

J.Ś.: – Dlaczego niebezpiecznie? Dzieją się różne rzeczy. Podczas manifestacji dla Rospudy doszła do nas informacja, że krajowy komendant nakazał inwigilowanie tzw. zielonych. To chyba dotyczyło się nas... ■

Ten wywiad przeprowadzany był, kiedy ważyły się losy IV RP. Wtedy też nie wiadomo było, jak naprawdę zakończy się sprawa Doliny Rospudy, co zresztą widać w naszej rozmowie. Dziś znamy odpowiedzi na te poważne pytania. A z tych mniej poważnych... Przekonał was Kuba? Nie wiem...Mnie tak. Powodzenia.

Kraków od spodu

W kategorii „AuTORytet” zwyciężył Kamil Durczok

„MediaTory”, czyli Studenckie Nagrody Dziennikarskie, rozdane!



Karolina Świerad

25 listopada 2007 r. w Auditorium Maximum UJ po raz pierwszy zostały rozdane „MediaTory”, czyli Studenckie Nagrody Dziennikarskie. W skrócie wyróżnienia dla dziennikarzy od przyszłych dziennikarzy. Największe pochwały zebrał Kamil Durczok, zyskując tytuł „AuTORytetu roku” akademickiego 2006/2007.

Plakaty rozwieszone po całym Krakowie ogłaszały wolny wstęp na galę. A czas wpuszczania zainteresowanych upływał przepisowo o godz. 16.45, czyli piętnaście minut przed rozpoczęciem imprezy. Efekt był taki, że o szesnastej wszystkie fotele były już zajęte. 800 przewidzianych dla widzów miejsc zamieniło się nieoczekiwanie w 1200, a chętni szukali miejsca, gdzie mogli. To wszystko stworzyło w sali głównej Auditorium Maximum niesamowitą atmosferę i budziło ogromne emocje.

Gala rozdania Studenckich Nagród Dziennikarskich została zorganizowana i przeprowadzona wyłącznie przez studentów, którzy pozyskali sponsorów i zaprosili wszystkich nominowanych dziennikarzy. Miało być studencko, z humorem, ale również wyjątkowo i patetycznie. No i pomimo kilku wybaczalnych wpadek - było. Plebiscyt miał ogłosić werdykty w poszczególnych kategoriach, ustalonych przez studentów dziennikarstwa z sześciu największych uniwersytetów Polski. Obejmował on gwiazdy dziennikarskie ze świata prasy, radia i telewizji, które zebrały się w Krakowie, aby poznać werdykty studentów.

W „MediaTorach 2007” zostało wyróżnionych dziewięć kategorii.

Na początek tytuł „TORpedy”, czyli dziennikarza cenionego najbardziej za fakt, iż szybkość i rzetelność mogą iść w parze, otrzymała **Katarzyna Kolenda-Zaleska**. Niestety, nie pojawiła się na gali, a nagrodę dla niej odebrały mama oraz koleżanka z pracy Renata Kijowska.

Miano „AkumulaTORa” spośród nominowanych, m.in. Kuby Wojewódzkiego, duetu Karoliny Korwin-Piotrowskiej oraz Tomasz Kina i Wojciecha Manna, zyskał **Szymon Majewski** jako osoba ładująca środowisko studenckie pozytywną energią.

W kategorii „NawigaTOR” oznaczającej szacunek dla publicystów, którzy prowadzą nasze myślenie na dobry tor, zwyciężył duet **Tomasz Siekielski i Andrzej Morozowski**. Obaj panowie byli zachwyceni nagrodą, za którą podziękowali następnego dnia w kolejnym odcinku programu „Teraz My”.

Kolejne wyróżnienie i miano „DetonaTORa” roku akademickiego 2006/2007 za publikację, która wybuchła najgłośniej nie tylko w świecie mediów, odebrał **Marcin Kącki**, który wytropił i przedstawił całą prawdę na temat seksafery w „Samoobronie”.

W kategoriach nazwanych „MediaTory Specjalne” miano „ProwokaTORa” otrzymał **Stanisław Jarecki** z tygodnika „WPROST” za okładkę przedstawiającą Angelę Merkel karmiącą piersią braci Kaczyńskich. Za zwycięstwo w kategorii „PromoTOR” nagrodę odebrał w imieniu serwisu TVN24.pl **Jakub Sufin**. Dalej miano „RefomaTORa” roku akademickiego 2006/2007 zdobyła **Brygida Frosztęga** z TVP2 („Magazyn Ekspresu

Reporterów”). Jej materiał pt. „Uporczywa terapia” opowiadający o sparaliżowanym i proszącym o eutanazję Januszu Świtaju, który po nagłośnieniu sprawy zaczął nowe życie i podjął pracę, urzekł studentów. Nagroda za inne ukazywanie rzeczywistości i tym samym miano „InicjaTORa” zyskała załoga „Faktów” Radia RMF FM. Powodem wyróżnienia okazało się głównie niebanalne podejście do problemów polityków.

Punktem kulminacyjnym gali było przyznanie najważniejszej nagrody za zwycięstwo w kategorii „AuTORytet”, którym dla studentów dziennikarstwa został **Kamil Durczok**. W rywalizacji pokonał takie gwiazdy, jak Tomasz Lis, Justyna Pochanke, Roman Młodkowski oraz Jacek Żakowski. Laureat wydawał się mocno zdziwiony i zaskoczony (co zresztą potwierdził), gdyż wszystkie werdykty trzymane były do końca w ścisłej tajemnicy. Durczok powiedział, że nie czuje się autorytetem, tylko człowiekiem spełnionym, który wkłada w to, co robi, mnóstwo czasu i pasji. Wspominał też, że kiedy przed laty wszedł po raz pierwszy do katowickiego radia studenckiego, od razu wiedział, że dziennikarstwo to jest to „coś”. Mimo że krąży między Katowicami i Warszawą, jest weekendowym tatą i pracuje kosztem wypoczynku, to nie zamieniłby swego zawodu na żaden inny.

Jako uczestniczka plebiscytu jestem niezmiernie dumna, że taka impreza odbyła się w Krakowie oraz że na ów pomysł wpadli właśnie studenci krakowscy. Serdecznie gratuluję i w imieniu tych 1200 osób nie mogących się doczekać następnej gali, za rok. ■

Piętnaste urodziny formacji „Świetliki” w klubie „Alchemia”

Rozgrymaszona nieprzysiadalność*

Bartosz Walat

W przeddzień ogłoszenia wyników medialnego handlu niewolnikami pod sztandarem „You can dance”, a na tydzień po tym, jak Justyna Steczkowska pożegnała się z szansą zarysowania na przydrożnym warszawskim parkingu 300 tys. zł w logo por-sche, w krakowskiej „Alchemii” odbyły się dekadencje rytuały piętnastych urodzin formacji „Świetliki”, założonej przez czołowego poetę pokolenia „brulionu” Marcina Świetlickiego.

Krakowską grupę (powstała w 1992 r.) zalicza się do nurtu muzyki alternatywnej i poezji śpiewanej. Stanowi wyrazisty sztandar krakowskiej kultury alternatywnej, będący jednocześnie rozpoznawalnym wytworem poetyckiej magii. Oprócz Świetlickiego tworzą go: Grzegorz Dyduch (gitara basowa), Artur Gasik (gitara, instrumenty klawiszowe), Marek Piotrowicz (instrumenty perkusyjne) i Tomasz Radziszewski (gitara elektryczna).

Od początku istnienia przewodnią aktywnością tych twórców było manifestowanie wstrętu do powierzchownej kultury mass mediów, kategorię negacja, krytyka oraz przekomarzenie się z bezosobowymi półproduktami naszej cukierkowej sceny muzyczno-literackiej.

Z okazji jubileuszu piętnastolecia działalności w klubie „Alchemia” zorganizowano trzy wydarzenia muzyczne, które w poszczególnych dniach wzbogacone zostały dodatkowymi elementami, takimi jak wystawy zdjęć czy projekcje archiwalnych nagrań z początkowego okresu istnienia „Świetlików”.

Charakter spotkania z 1 grudnia był oficjalny i ograniczony do zaproszonych gości. Odbyła się dyskusja z udziałem



Marcin Świetlicki

prof. Mariana Stali, dra hab. Pawła Próchniaka i Wojciecha Bonowicza, poświęconą wierszom religijnym krakowskiego poety, którego repertuar w wieczornym koncercie wykonywany był przy współudziale m.in. Roberta Gonery, Edwarda Pasewicza czy Ireneusza Grina.

Koncerty z 7 i 8 grudnia (piątek i sobota) okazały się już nieograniczonymi dawkami lirycznych przemyśleń i muzycznych uniesień, które w świadomości większości nagromadzonych fanów były niezapomnianymi doświadczeniami o charakterze ponadczasowym. Wszyscy obecni byli świadomi, iż mają do czynienia ze spotkaniem nadzwyczajnym. Rzadko się bowiem zdarza, by przez piętnaście lat istnienia grupy powstała tak bogata dawka tekstowych symboli, a czołowy lider stał się głosem pokolenia i postacią dorównującą fenomenowi Rafała Wojaczka.

Zarówno piątkowy „koncert brutalnych doświadczeń” (tytuły nadane przez twórców), jak i sobotni „koncert pogodnej refleksji” był kompilacją nagrań ze wszystkich okresów działalności, co stało się gwarancją usłyszenia wierszy

nieczęsto melorecytowanych publicznie. Szczególnie dotyczyło to albumu debiutanckiego „Ogród koncentracjonalny” czy też nacechowanej rockową energią płyty „Cacy cacy fleischmaschine”, której warstwa tekstowa stanowi kanon polskiej poezji współczesnej.

Charakter relacji zespół-publiczność, jak zwykle w przypadku „Świetlików”, okazał się prześmiewczo-zacząpny, co za każdym razem pobudzało do refleksyjnego fermentu, tak ważnego w czasach bezdyskusyjnych dyktatur przekonaniowych. Świetlicki z uwagi na niecodzienną wyjątkowość wydarzenia wyjawiał kilka zespołowych sekretów i własną manierą dekadenta, współuczestniczył w uszczypliwych komentarzach między muzykami. Nie jest możliwe zrelacjonowanie tworzących te wieczory aluzji osobom nieznającym twórczości „Świetlika”, gdyż specyfika każdorazowych wypowiedzi nawiązujących w swej symbolice do wymowy jego wierszy tworzy swoistą magię z trywialności skompilowanej w kafejskie metafory.

Wielce twórczym przeżyciem jest doświadczenie jubileuszu ikony poetyckiej niezależności i zarazem barbarzyńcy polskiej literatury w konfrontacji z okresem medialnych landrynkowych dziwactw nastawionych na masowy odbiór. Dlaczego? Ponieważ nieuniknionym procesem bezwarunkowym jest zazwyczaj refleksja, gdy wśród tanich odcieni różu możemy doświadczyć czarnych poetyckich drogowskazów i opinii rozliczających bezduszne czasy. ■

* *Rozgrymaszona nieprzysiadalność* - Marcin Świetlicki od przeszło piętnastu lat jest twórcą wielu neolingwistycznych zwrotów, które na stałe wpisały się do kanonu języka współczesnej literatury.

Kraków od spodu

Omijajcie raczej „Gruzińskie Chaczapuri”...

„Gumowy” bakłażan i aczma z mikrofali

Damian Jurczyk

Pewnego jesienno i chłodnego wieczoru, spacerując po Rynku, gdzie dwóch akordeonistów pięknie przygrywało „Zimę” Rudego Księdza, bardziej znanego jako Antonio Vivaldi, poczułem nagle głód i chęć ogrzania się w jednej z krakowskich restauracji. Idąc ulicą Floriańską, trafiłem do lokalu gastronomicznego o nazwie „Gruzińskie Chaczapuri”.

Wystrój zaskoczył mnie dość pozytywnie. To miłe miejsce na romantyczne spotkanie we dwoje (delikatnie przyciemnione światło w odcieni czerwieni, pastelowe ściany wspinały się do góry z całością) – pomyślałem. Jednak po chwili przekonałem się, że jak dla mnie to trochę tu chyba za dużo ludzi.

Usiadłem przy stoliku. Kelner pojawił się w miarę szybko, przyniósł kartę menu i win (dość bogaty wybór i przystępne ceny, ale mało rodem z Gruzji). Sądziłem, że będę miał do wyboru wiele dań kuchni gruzińskiej, a tymczasem z miejsca natrafiłem na frytki... Jako przystawkę zamówiłem bakłażana zapiekane z serem i kiel-

szek wytrawnego czerwonego wina Alaya.

Po kilku minutach dostałem bakłażana. Niestety, nie był zapiekany, tylko przyrządzony w mikrofali, w dodatku okazał się gumą do żucia i raczej nie pierwszej świeżości. Przejrzałem więc menu raz jeszcze i poprosiłem o schab po kaukasku z grilla marynowany w winie, z ryżem i surówką, a do tego aczmę ze szpinakiem zapiekana z serem.

Aczmę (znów niezapiekana) podano mi pierwszą. To potrawa z Zakaukazia, wymyślona przez Ormian, ciasto makaronowe przekładane ściętym jajkiem, podawane najczęściej ze szpinakiem. W wersji nieprzekładanej (ciasto makaronowe z pływającym, lekko ściętym jajkiem u góry) nosi nazwę *andżarula*. W wersji „floriańskiej” było to ciasto makaronowe zapewne najpierw pieczone i po kilku dniach podgrzane z „gruzińskim” serem w mikrofali...

Siedziałem przy kieliszku alai i niecierpliwie czekałem na schab. Muszę przyznać że spodziewałem się trochę większego kawałka, zwłaszcza że gość

obok zamówił to samo, tyle że z serem (o dziwo, ser był zapiekany, o czym świadczyły brązowe bąble!), i miał co jeść. Po rozkrojeniu miękkiego i dobrze usmażonego mięsa nie zauważyłem, żeby było marynowane w winie, mało tego, podejrzewam, że tenże schab nie słyszał nawet o takim trunku. Pomijając owe ważne szczegóły, które widniały w menu, sam schab okazał się raczej smaczny i dobrze przyprawiony, ryż natomiast przeciwnie – był zbyt *al dente* (tzn. ugotowany na półtwardo) i za bardzo żółty (dominował mocny smak carry). Surówka także nie nadawała się zbyt do jedzenia...

Miałem jeszcze zamiar wypić kawę i zjeść ulubiony deser, miodownik, czyli torcik „Marlenka”, na który przypadkiem trafiłem kiedyś w wiedeńskiej kawiarence (był pyszny). Zaczął go wypiekać według starej rodzinnej receptury Ormianin Gevorg Avetisyan wraz z siostrą Hasmik, gdy cała rodzina osiedliła się w Czechach. Ale zrezygnowałem. Nie dałbym chyba rady nic przelknąć po zjedzeniu „gumowego bakłażana” i aczmy z mikrofali... ■

17 listopada 2007 r. w Hali Ludowej
we Wrocławiu odbył się

Festiwal reggae

Daniel Wilk

Z roku na rok „One Love Sound Fest” zdobywa coraz większą renomę w Europie. Nic więc dziwnego, że na czwartej edycji festiwalu pojawiły się gwiazdy największego formatu tego typu muzyki.

Na dwóch festiwalowych scenach wystąpili artyści z Jamajki, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Francji, Zimbawe, Izraela i Liberii. Wśród nich Jah Saka – król dubu, guru brytyjskiego modern roots (uznawany za ojca chrzestnego brytyjskiej

sceny muzycznej) i legenda światowego reggae, oraz Anthony B. mający na koncie kilkanaście świetnie przyjętych płyt, który współpracował m.in. z Wyclefem Jeanem, Luciano czy Snoop Doggiem.

Nie zabrakło przedstawicieli polskiej sceny muzycznej, takich jak Masala Sound System, którzy zabrali nas w muzyczną podróż przez m.in. Algierię, Izrael, Węgry, Ukrainę, Brazylię i inne miejsca, gdzie tworzy się reggae sound systemy. Inną polską gwiazdą festiwalu byli „Natura Dread

Killaz” – najpopularniejsza formacja reggae w Polsce, która ma na koncie udział we wszystkich edycjach festiwalu.

Na „One Love” można było dodatkowo zobaczyć wystawę francuskiego fotografa, Klemensa Tadifa, jednego z najlepszych w Europie, albo też zasięgnąć informacji o działalności pozarządowych fundacji (np. Greenpeace). W rytmie dźwięków reggae, roots, dub, ragga, hip-hopu i dance hall bawilo się ponad 3000 miłośników muzyki rodem z Jamajki. ■



ONE LOVE
SOUND FEST 2007

„Niczym nieposkromiona kakofonia dźwięków” - to pierwsze skojarzenie po wysłuchaniu drugiej płyty brytyjskiej wokalistki i raperki Mai Arulpragasam

Gdy córka „Tamilskiego Tygrysa” pokazuje pazury...

Słuchając najnowszej płyty Matangi „Mai” Arulpragasam, miałam nieodparte wrażenie, że ograniczenia dotyczące mieszania się ze sobą danych gatunków muzycznych nie obchodzą tej konkretnej artystki. Więcej: wydaje mi się, że ona tych hipotetycznych ograniczeń zdaje się nie dostrzegać.

Hipnotyczny dźwięk trąb, metaliczny odgłos rytualnych buddyjskich dzwonków... bez wątpienia swoim drugim albumem pt. „Kala” M.I.A. udowadnia, że nie jest tylko egzotyczną, jednosezonową sensacją. Przy okazji wykorzystwała też cały wachlarz możliwości, jakie daje globalne pochodzenie: kompozycje tamilskiego kompozytora Ilayaraja, odświeżona wersja „Jimmy Jimmy Aaja” hinduskiej piosenkarki Parvati Khan z bollywoodzkiego hitu z lat 80. „Disco Dancer” czy „Bird flu”, gdzie trzydziestu indyjskich bębniarzy wybija rytm mający się kojarzyć z gładaniem tysięcy ptaków (nagrała ten kawałek w czasie, gdy w Indiach szalała ptasia grypa), to przykłady utworów, jakie znajdziemy na płycie.

Jeden z bardziej przewrotnych kawałków, „Paper Planes”, z dźwiękiem karabinu maszynowego w refrenie oraz kontrastującym z nim śpiewem dzieci, odwołuje się do spotkania z amerykańskim producentem, Blackstarem. Wtedy to biznesowe spotkanie zostało przerwane przez serie strzałów z AK-47 na ulicach Baltimore. Zainspirowana tym doświadczeniem, M.I.A. osiągnęła prawdziwe mistrzostwo w miksowaniu bardzo odległych od siebie dźwięków, uzyskując spójną i niezwykłą kompozycję.

Muszę przyznać, że przerażenie, jakiego doświadczyłam, gdy dowiedziałam się, że i tutaj znany amerykański producent Timberland maczał palce, szybko ustąpiło uldze. Okazało się bowiem, że razem zdołali nagrać zaledwie jeden kawałek. „Come around”, bo tak się nazywa ich wspólny utwór, całe szczęście nie odbiega poziomem od reszty (choć można wyłapać charakterystyczne dla Timberlanda bity), co jest zapewne wynikiem silnego charakteru artystki i jasnej drogi, którą sobie wytyczyła.

Częstym zabiegiem, jaki stosuje Arulpragasam, są też liczne powtórzenia – nieodzownie kojarzące mi się z wielogodzinnymi mantrami buddyjskich mnichów, jednak już bez natchnionego skupienia. Co ciekawe, pomimo wyraźnego dopracowania płyta nic nie straciła na świeżości (co często się zdarza drugiej płycie debutantów), a wiele kawałków brzmi jak spontanicznie nagrane w jedną noc.

Podczas gdy pierwszy album zaczerpnął tytuł od imienia, jakim posługiwał się jej ojciec podczas służby w „Tamilskich Tygrysach”, kolejny artystka nazwała imieniem matki. Jednak bynajmniej nie w holdzie. Jak sama mówi, zrobiła to „aby pokazać determinację, z jaką chce uniknąć jej wyborów i życia jakie prowadziła”.

Płyta jest bardzo wyrazista w warstwie tekstowej – raperskie korzenie spowodowały, że jej teksty są wyjątkowo celne. Jako aktywistka, M.I.A. nie kryje swej pogardy dla USA jako hegemonicznego wyznacznika kultury masowej. Niejednokrotnie podkreślała, że nie widzi powodu, dlaczego jeden kraj ma wyznaczać nurty



artystyczne dla pozostałych 5 miliardów ludzi. Trudno się z nią nie zgodzić...

Umiejętnie miesza dance hall, rap, muzykę lat 80., disco czy electro. Niezwykła jest łatwość, z jaką je miksuje. Co ciekawe, pomimo licznych inspiracji Mai udało się stworzyć spójny i charakterystyczny styl. Kiedy raz zaznajomimy się z jej talentem, bez wątpienia rozpoznamy jej utwór, gdziekolwiek nas on „zaatakuje” – czy to na imprezie w klubie, czy na wiejskim straganie pomiędzy półkami ze świeżymi jarzynami.

Trudno jest ją zdefiniować. Muzyka, którą tworzy, przypomina coś, co często się słyszy. Ułatwiając wam umieszczenie jej na muzycznej scenie, powiem, że słysząc tu dalekie głosy Björk. Jednak oczywiście nie jest to cała prawda o tym muzycznym wulkanie. Wystarczy bowiem przytoczyć, że inspiracjami dla drugiego albumu były zarówno dźwięki Bollywoodu (brytyjska scena muzyczna lat 80.), jak i kultura aborygenów. To powinno nam uzmysłowić, z jak niezwykłą i nieprzewidywalną artystką mamy do czynienia. ■

Twórcy puszczają oko do tych, którzy wiedzą, o co chodzi...

Najlepsze 30 sekund wieczoru

Iga Bałos

Czołówka serialu jest traktowana jak przerwa na reklamy. Pół minuty na herbatę lub pójście do toalety. Czas wykorzystany, a strata niewielka. Muzyczka nadająca się na dzwonek do telefonu i napisy początkowe, które po trzech odcinkach można już recytować z pamięci. Większość osób ma ulubiony serial. Ja mam natomiast ulubioną czołówkę i jestem gotowa na wszystko, byle jej tylko nie przegapić!

Na pierwszy rzut oka (zwłaszcza taki przez drzwi kuchenne znad parzonej herbaty) to pół minuty ruchomych obrazków przy wesołej melodii. Jeśli jednak przypatrzeć się dłużej, okaże się to małym studium na temat żon i w ogóle kobiety, w kulturze amerykańskiej. Wykorzystane symbole nie stanowią dorobku wyłącznie tamtejszych artystów. Są jednak na tyle dobrze rozpowszechnione w Stanach Zjednoczonych, że funkcjonują w świadomości społecznej, jakby były w niej obecne od zawsze. W czołówce pojawiają się motywy zaczerpnięte z obrazów podziwianych w najbardziej snobistycznych muzeach świata. Oprócz nich odwołano się do pop artu i plakatów, czyli do sztuki na wskroś użytkowej. Zestawiono sprzeczności, które na pozór do siebie nie pasują. Uprzedzałam jednak, że będzie o kobietach...

Scenka pierwsza. „Adam i Ewa” z obrazu Lucasa Cranacha. Dzieło pochodzi z XV wieku, w odbiorze wydaje się dość statyczne. Ewa, jak zwykle, namawia Adama do grzechu, podając mu jabłko. Tym razem jednak nie zdążyła. Jej ofiara została przygnieciona przez gigantyczny owoc, który spadł z drzewa. Mężczyzna leży u stóp kobiety wgnieciony w ziemię. Jej samej nic się nie stało i w dodatku może zjeść jabłko, które miało się stać źródłem nieszczęścia. Czy można bardziej bezpośrednio wyrazić feministyczne idee?

Następna scenka przenosi widza do starożytnego Egiptu. Jest to jedna z nielicznych kultur tego czasu, gdzie kobiety traktowano w zasadzie na równi z mężczyznami (w każdym razie na pewno nie go-

rzej). Pierwszoplanową rolę gra Nefretete. Wymarzona klientka dla każdego centrum spa: starannie wykonany, wieczorowy makijaż nakładany już z samego rana, a do tego zamiłowanie do aromatyzowanych. Nefretete była uosobieniem piękna swojej epoki i kręgu kulturowego. Być może cieszyła się z tego pomiędzy kolejnymi dziecięciami porodem. Miała czas na próżność także wtedy, gdy jej mąż, Ramzes II, wychodził do reszty swoich żon kochanek. Zdaniem feministek Nefretete po prostu nie potrzebowała mężczyzny, by czuć się spełnioną. Zdaniem zadbanych „żon swoich mężów”, które wiecznie czekają na ich powrót z delegacji, była nadzwyczaj piękna i zwyczajnie nieszczęśliwa.

Kolejną inspirację zaczerpnięto z dzieła Jana van Eycka. „Małżeństwo Arnolfini” to obraz z pierwszej połowy XV wieku. Ona w zielonej sukni, on w ciemnym płaszczu i dużym kapeluszu. Malarzowi pozołało majętne małżeństwo. Wyrażając się ściślej, on był bogatym kupcem, a ona jego żoną. Kobieta stoi przy łóżku, a jej mąż niedaleko otwartego okna. Mężczyzna jest więc blisko wielkiego świata na zewnątrz, podczas gdy jego żona powinna posłusznie poddać się domowym obowiązkom. Na pewno nie będzie oponować. Jej białe nakrycie głowy symbolizuje czystość, wierność i pokorę. Nie potrwa to jednak długo. W świeczniku nad głowami pary pali się tylko jedna świeca. Po stronie mężczyzny. Zwiastuje to rychłą śmierć jego wybranki.

Abstrahując od samej czołówki, oryginalny obraz zawiera w sobie niespodziankę. Jest ona mało zaskakująca dla znawców malarstwa, ponieważ twórcy tej epoki często korzystali z podobnego zabiegu. W głębi pomieszczenia znajduje się wklęsłe zwierciadło, w którym odbija się cała scena. Interpretacje takich elementów rzadko są zgodne. Być może jest to symbol wszechwiedzącego Boga, spoglądającego na ostatnie chwile życia kobiety. Inni utrzymują, że w ten sposób zaznaczono obecność świadka wymaganego przez prawo podczas ceremonii zaślubin.

Przenosimy się do wieku XX. Tym razem sparafrazowano obraz z 1930 r. „American Gothic”, namalowany przez Granta Wooda. Stary farmer jest glaskany w podbródek przez pin-up girl, symbol rozpusty, czyli dobrej zabawy. Na wszystko patrzy z wielką dezaprobatą jego córka. Zostaje szybko wciągnięta do puszek sardynek i oznaczona jako towar przeterminowany. Przedstawiono tym samym odwieczny kultu młodości i naturalną chęć do ucieczki przed zobowiązaniami.

Kolejna pani domu jest postacią z plakatu, stworzonego w ramach kampanii społecznej po II wojnie światowej. Hasło (pozostawiam do oceny, czy chwytliwe) głosi: „*Jestem dumna! Zwalczam głód, robiąc przetwory domowe*”. Kampania miała na celu zachęcenie kobiet do hodowania i przetwarzania warzyw. Miało to pomóc w zaopatrzeniu w żywność naród, którego gospodarka poniosła straty na skutek wojny. Jako autora plakatu podaje się Departament Rolnictwa Stanów Zjednoczonych. Twórcy czołówek puszczają oko do widza i wkładają w ręce gospodyni domowej słynną puszkę Andy’ego Warhola. To oczywiście zupa „Campbell” opakowana w czerwoną blachę, niezależnie od tego, czy jest pomidorowa, o smaku wołowym czy serowym.

Koniec cikliwy, kiczowaty i bardzo amerykański. Komiks. Autorem jest Robert Dale. Wykorzystane rysunki to „Para romantyczna” i „Para sprzecząca się”. Powstała z nich jedna animacja. Delikatna kobieta najpierw roi leżkę, którą ją oczyszcza i daje siłę, żeby wymierzyć partnerowi lewy sierpowy w oko. Tym razem o owocach. Po prostu śliwka.

Opisana powyżej czołówka to małe arcydzieło. No, może arcydziełko. Szkoda jednak, że pojawia się na ekranie prawie niezauważone. Być może dlatego, że jego dowcip nie jest rozumiany przez przeciętną fanek serialu. Jego twórcy puszczają oko do tych, którzy wiedzą, o co chodzi. Teraz możecie odmrugać w geście porozumienia. ■

Wykorzystano:

1. Patrick de Rynck – „Jak czytać malarstwo”
2. Jamie James – „Pop Art: Colour Library”

„Do you remember? Do you...? No, I do not!” – to słowa wypowiedane przez jednego z głównych bohaterów na końcu sztuki „Oresteja” w reżyserii Jana Klaty

Historia o klątwie, zbrodni i karze

Mateusz Płocica

Współczesnym świecie często jesteśmy świadkami upadku i zaniku ludzkich uczuć. Takie wnioski można było wyciągnąć po obejrzeniu spektaklu „Oresteja”, wyreżyserowanego przez Jana Klatę w Narodowym Teatrze Starym im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie.

Siadając na widowni, stajemy się świadkami niezwykle widowiska, w którym to dramat miesza się z ironią, a przeszłość ze współczesnością. Scena, na której znajduje się wysypywany szary żwir, osnuta jest dymem – robi to niezwykle wrażenie miejsca zbrodni, tragedii albo piekła.

Na początku wszystkie wydarzenia rozgrywają się bardzo powoli, aktorzy w zasadzie nie używają słów, gdyż zostały one ograniczone do minimum. Reżyser zadbał również o to, żeby czasy starożytnego dramatu przenieść do współczesności. Nie brak tutaj różnego rodzaju metafor, niedomówień oraz ironii. O przykładzie tej ostatniej świadczyć może choćby scena, w której grająca Klitajmestrę Anna Dymna zabija swojego męża Agamemnona (Jerzy Grałek), a następnie siada na środku sceny w sukni ślubnej oblanej krwią i w nerwach zapala papierosa. Robi to wrażenie komiczne w połączeniu z leżącą obok niej siekierą, która stała się narzędziem zbrodni.

O czym tak naprawdę opowiada sztuka?

„Oresteja” to opowieść o klątwie, która rzucona została na ród Agamemnona. Ginie on w wyniku zemsty dokonanej przez swoją żonę Klitajmestrę oraz jej kochankę Ajgistosa (Juliusz Chrzastowski). Kiedy o tym, co się stało, dowiaduje się syn Agamemnona Orestes, postanawia wspólnie z siostrą Elektrą (Anna Radwan-Gancarczyk) pomścić śmierć ojca. Niedługo potem zabija swą matkę, Klitajmestrę, i popada w obłęd, z którego

nie ma wyjścia. Pozostaje sam, trapią go wyrzuty sumienia, przestaje rozumieć, co zrobił i kim jest. Chcąc zapomnieć o swoim czynie, powtarza w kółko słowa: „Do you remeber? Do you...? No, I do not!”.

Mamy tutaj do czynienia z konfliktem tragicznym, w który uwikłana jest jednostka, na dodatek jeden mord pociąga za sobą kolejny, w końcu widz dostrzega, że na ziemi przestają panować prawo i zasady moralne, a liczy się jedynie pięść, siła i przemoc. Wszelkie inne wartości ulegają zatraceniu. Prawo do odbierania innym życia ma tutaj każdy bohater.

Niezwykle wrażenie na widzach robi chór, który występuje w postaci grupy osób ubranych w czarne garnitury, komentującej, rozjaśniającej i krytykującej całą sytuację, a czasem nawet ją ironizującej.

Orestes po dokonaniu zbrodni lęka się, co pomyśla o nim bogowie, którzy będą osądzać jego czyn, czyli Apollo (Błażej Peszek) i Atena (Anna Radwan-Gancarczyk). I tutaj czeka nas zaskoczenie – zamiast typowego sądu reżyser przenosi akcję do współczesności. Apollo zostaje ukazany jako sobowtór Robbiego Williamsa – jest ubrany dokładnie tak samo, jak on, podobnie śpiewa (z playbacku słyszymy utwór „Feel”) i tańczy. Jego zachowanie w pewnym momencie może budzić nawet zgorszenie, gdyż na końcu piosenki Apollo ściąga spodnie i pokazuje wszystkim gołe pośladki (u jednych budzi to śmiech, a u innych zniesmaczenie).

Jakkolwiek by jednak na to patrzeć, scena pokazuje, że bogowie to tandetne podróbki gwiazd popu, które tak naprawdę nie interesują się wcale losem ludzi, bo zajęci są robieniem kariery. Inaczej zostaje ukazana Atena, która w spektaklu pełni rolę gwiazdy telewizyjnego show. W celu osądzenia Orestesa prosi o pomoc widzów, którym proponuje wzięcie udziału w konkursie

i zadecydowanie o jego losie poprzez wysyłanie SMS-ów. Ostatecznie decyzja widzów brzmi 0:0 – bohater nie zostaje skazany.

W ten sposób reżyser ukazuje współczesną rzeczywistość telewizyjną w krzywym zwierciadle. Jest ona zmanipulowana i błyszczy w świetle reflektorów, a bogowie to gwiazdy bądź też ikony popkultury. Możemy również zobaczyć, że to telewizja zajmuje się kreowaniem nowej rzeczywistości. Sąd, który miał się odbyć w celu ukarania Orestesa, przypomina bardziej komedię. Na końcu spektaklu bohater pozostaje całkowicie sam, ginie w świecie, który sam sobie stworzył, nie jest w stanie przypomnieć, kim był wcześniej. Kara, jaką miał otrzymać, nie nastąpiła, przez co jego sumienie nie stało się czyste. Skazany został na samotność do końca żywota.

„Oresteja”, pomimo swojego ponadczasowego przesłania, jest sztuką niezwykle trudną w odbiorze, zwykły widz ma problemy z dokładniejszą interpretacją treści tuż po wyjściu ze spektaklu. Dlatego polecam ją jedynie prawdziwym miłośnikom teatru. Wcześniej jednak powinni się oni zapoznać przynajmniej częściowo z jej fabułą. Choć sztuka ta jest dramatem napisanym przez Ajschylosa, to jednak łączy w sobie również elementy ironii i komedii.

Jakie wnioski można wyciągnąć po jej obejrzeniu? Zapewne warto by się było zastanowić nad sensem ludzkiego życia, nad tym, czy naprawdę warto jest brać udział w konfliktach i wojnach. Możemy się również dowiedzieć, że podejmowane przez nas decyzje ciągną za sobą wielkie skutki i nie pozostają bez wpływu na nasze losy w przyszłości. Spektakl ukazuje również prawdziwą „twarz” telewizji i wpływu, jaki potrafi wywierać na ludzi, co w dzisiejszych czasach często bywa wykorzystywane. ■

Gdy profanum w postaci wspaniałych dzieł spotyka się z tematyką sacrum, zawsze towarzyszą temu duże emocje. Zwłaszcza jeśli wystawa jest doskonale zorganizowana

Niebiański splendor – rzemieślniczy trud w poszukiwaniu prawdziwego boga

Joanna Oparcik

Od 12 października br. do 13 stycznia 2008 r. w Muzeum Narodowym w Krakowie (Oddział Muzeum XX. Czartoryskich) mamy niepowtarzalną okazję zaznajomić się ze słynnym zbiorem ikon greckich z kolekcji Emiliosa Velimezisa. Ów grecki kolekcjoner poświęcił dwanaście lat życia tworzeniu i uzupełnianiu niezwyklej kolekcji ikon.

O niezwykłości tego wydarzenia świadczy fakt, że kolekcja zostaje po raz pierwszy zaprezentowana w Polsce: wcześniej gościły ją takie słynne muzea światowe, jak British Library w Londynie czy berlińskie Pergamon Museum.

Wystawa jest świetnie rozplanowana i zaprezentowana. Chronologiczny podział ikon wraz z szerokimi opisami umieszczonymi na podświetlanych tablicach ułatwia uporządkowanie zebranych wiadomości. Dodatkowy element uzupełniający ekspozycję stanowi sugestywna grecka muzyka.

Po raz pierwszy możemy podziwiać w Polsce dzieła Andreasa Ritzosa, Emmanuela Tzanesa, Domenikosa Theotokopoulou, czyli El Greca, wyznaczających ramy estetyczne malarstwa pobizantyńskiego. To zarazem wyjątkowa okazja do poznania tzw. wzorników malarskich, tak istotnych w nowożytnym malarstwie greckim. Służą one do szkiców przygotowawczych, które były wykorzystywane przez malarzy w planowaniu kompozycji ikon i malowideł ściennych.

Wiele z ikon może razić laika prymitywnością – kiedy bowiem weźmiemy pod uwagę czas powstania danego obrazu, zapewne zdziwi nas jego wygląd.

Podczas gdy np. w XV wieku we Włoszech zakwitał renesans wraz ze swoimi dynamicznymi postaciami, pisarze ikon zdawali się wciąż tkwić głęboko w manierze Bizancjum. Jednak jest to wbrew pozorom świadomy zabieg: ikony do dziś są malowane w ten sam sposób, taką samą, niewiele zmodyfikowaną techniką.

Te płasko malowane obrazy nie uwzględniają perspektywy dającej złudzenie trójwymiarowości przestrzeni. Znaczenie obiektu regulowane jest jego wielkością: to, co najważniejsze, jest największe, a postacie są ustawione według ściśle określonego porządku.

Malarstwo ikoniczne ściśle wiąże się z symboliką. Tu nic nie jest przypadkowe, każdy gest, postać, kolor ma znaczenie dla interpretacji obrazu. Twórcy uczynili z tej techniki atut i znak rozpoznawczy, tworząc ikony w tym samym stylu nawet w wieku XIX.

Ciekawym zabiegiem było zebranie nie tylko znakomitych przykładów malarstwa ikonicznego, ale także zaprezentowanie procesu powstawania tych dzieł. Oddzielono niewielki fragment sali, gdzie zostały umieszczone dwie gabloty i telewizor (z projekcją filmu o tematyce ikonicznej). Pierwsza gablota, wraz z towarzyszącą jej planszą, prezentuje nam wszelkie narzędzia i „półprodukty”, jakie są niezbędne przy tworzeniu takich obrazów. W drugiej niezwykle interesująco zaprezentowano poszczególne etapy powstawania ikon: od wyboru drewna, poprzez położenie podobrazia, szkicowanie, nakładania złotych elementów aż do ostatecznego dzieła.

Niewątpliwą siłą wystawy jest wzbudzanie chęci dalszego zgłębiania jej te-

matyki po wyjściu z muzeum. Gdy wróciłam do domu, niemal od razu zaczęłam przeszukiwać książki i Internet. Pozwoliło mi to odkryć bogactwo przedstawień każdej z postaci: sam wizerunek Chrystusa może być kształtowany według kilkunastu wzorów, nie licząc przedstawień pomniejszych biblijnych postaci. Poszczególne przedstawienia mają swoje greckie nazwy: przykładowo Chrystus jako Wszechwładca, Pan wszystkiego to z greki Pantokrator, a Matka Boska jako przewodniczka to Hodegetria. Przykładów jest naprawdę bardzo wiele.

Wydaje mi się, że nie bez powodu mówiąc o ikonach, używa się czasownika „pisać”, a nie „malować”: tworzenie ikon, wraz z trudem poszczególnych etapów, kojarzy mi się bardziej z ręcznym przepisywaniem ksiąg w średniowiecznych zakonach niż z inspirującą sztuką duchową.

Wystawa, pomimo obiektywnie niewielkich rozmiarów, jest świetnie zaaranżowana, liczne plansze wyjaśniające terminologię i przybliżające historię tworzenia ikon w Grecji pozwalają nawet laikowi zaznajomić się z tematyką. O ile sama wystawa nie wystarczy, abyśmy mogli powiedzieć, że wiemy coś o pisaniu ikon, o tyle stanowi jednak doskonały punkt odniesienia do poszukiwań na własną rękę. Te niezwykle kreteńskie ikony z kolekcji greckiego kolekcjonera Emiliosa Velimezisa otaczają nas swoim, wręcz namaszczone, spokojem, pięknem.

Wystawa stanowi preludium do zaprezentowania nowej stałej ekspozycji sztuki cerkiewnej dawnej Rzeczypospolitej w nowo otwartym oddziale Muzeum Narodowego – Pałacu biskupa Erazma Ciołka przy ulicy Kanoniczej 17. ■



Aborcja ciągle jest przedmiotem sporów. Zastanawiają się nad nią politycy i Kościół, wypowiadają na jej temat lekarze, media, zwykli ludzie. Nikt jednak nie pyta kobiet, dla których usunięcie ciąży to nie ustawa, pokarm medialny czy sposób na poselski stołek, tylko decyzja na całe życie. Czyżby obawiano się, że odpowiedź na jedno z najbardziej nurtujących pytań wydaje się banalnie prosta?

Problem legalizacji, zaostrzenia lub złagodzenia prawa aborcyjnego staje się dzisiaj czymś w rodzaju karty przetargowej. A przecież jest to osobista tragedia kobiety, która ma to już za sobą. To bezsenne noce z koszmarami, długie dni i wieczory z myślami wokół jednego



Problem legalizacji, zaostrzenia lub złagodzenia prawa aborcyjnego staje się dzisiaj czymś w rodzaju karty przetargowej

To zawsze osobista tragedia kobiety...

tematu, to ścisk gdzieś w środku w każdą rocznicę zabiegu lub terminu porodu. To łza spływająca słoną strużką po policzku, kiedy obok przechodzi matka z dzieckiem. To nieufność, rozpacz, zagubienie, wyrzuty sumienia. Każda kobieta ma instynkt macierzyński (niektóre zaprzeczają, ale też go mają). Zdarza się, że ktoś odkrywa swe macierzyństwo dopiero wtedy, gdy utraci możliwość jego realizacji. To najsmutniejszy moment i punkt kulminacyjny ciągle trwającej rozpacz...

Aborcja nie jest wyłącznie problemem jednostki, dotyczy całego społeczeństwa. Podnosi ciśnienie medialne za każdym razem, kiedy wdrze się na pierwszy plan. Przykry jest fakt, że w Polsce wciąż o prawie kobiety decydują ludzie, których ani ciąża, ani aborcja nigdy bezpośrednio nie dotknie. Z całym szacunkiem dla wszelkiej władzy ani ksiądz, ani biskup, ani jeden poseł z drugim nigdy nie poznają motywów, uczuć i tragedii, która z pewnością rozgrywa się w umyśle kobiet. Każda z nich (po aborcji) ma świadomość tego, co zrobiła, każda wie, na co się decyduje.

Głosy sprzeciwu mówiące o tym, iż kobieta nie wie, co robi, i nie zdaje sobie sprawy z ogromu szkód, ze skutków, to brednie! obrońcy życia poczętego bezwzględnie krzyczą: „Jeśli złagodzi się prawo do aborcji, kobiety będą go nadużywać”. To też śmieszne! Chyba nikt nie myśli, że kobieta, która czuje, iż w środku



istnieje ktoś jeszcze, jej własne dziecko, która czuje każdy najmniejszy jego ruch w bardziej zaawansowanej ciąży, owe delikatne kopnięcia, coś jakby głaskanie małą rączką, innym razem znów wesole brykanie, chyba nikt nie myśli, że cokolwiek – złagodzenie lub zaostrzenie prawa aborcyjnego jest w stanie choć w jednym procencie zmienić decyzję?

Każdy, kogo nurtuje ów problem, niech się choć na chwilę zastanowi nad tym, czy jeśli taka kobieta jest w stu procentach zdecydowana, zdeterminowana i zawzięta, to czy cokolwiek ją powstrzyma? Nie zdelegalizujemy prawa do aborcji na całym świecie. Niech każdy z nas sprawdzi raporty o podziemiu aborcyjnym w Polsce, ile każdego roku odbywa się nielegalnych zabiegów (często w warunkach pozostawiających sobie wiele do życzenia) pomimo ostrego prawa! Ile kobiet wyjeżdża na Słowację, do Holandii, Anglii, żeby przeprowadzić zabieg, ile torturuje się, rzuca ze schodów, truje, zapija, łyka tony tabletek, żeby uszkodzić płód, ile z nich decyduje się na aborcję metodą hakową i innymi, które bezpośrednio i poważnie zagrażają jej życiu!

Czy to wszystko jest tego warte? Sama nie potrafię powiedzieć, czy aborcja powinna być w Polsce legalna czy nie. Wiem jedno: jest zła, ale czasami konieczna, a decyzja o jej przeprowadzeniu powinna należeć wyłącznie do matki. Katolickim głosom sprzeciwu należy powiedzieć: „Wstrzymajcie się od potępienia, przecież nie waszą będzie winą i nie wasze sumienie będzie kaleczyć serce do końca życia. Nie was pociągną do odpowiedzialności za zbrodnię największą ze wszystkich”.

Bo czyż jest gorsza zbrodnia? Czy jest na świecie coś gorszego od zabicia własnego dziecka? Czy jest gorsza zbrodnia od powiedzenia „Nie chcę cię, nie kocham cię!” do kogoś, kto zrodził się z miłosnego aktu? Czy istnieje gorsza kara od tysiąca łez, nieopisanego bólu i rozpacz, od nieprzespanych nocy, miesięcy, lat!? Czy jest gorsza kara od nienawiści własnego „ja”, kiedy patrzy się w lustro, kiedy widzi się, jak ulicą obok przechodzi dziecko, trzymając za rękę matkę? Czy są gorsze wyrzuty sumienia?

Ocena należy do nas, potępienie i rozgrzeszenie: NIE!

T.

Fot. stock.xchng

Bieszczadzka Kolejka Leśna

Trudno byłoby odnaleźć w Polsce drugą kolejkę wąskotorową położoną w równie urokliwym miejscu. „Bieszczadzka ciuchcia” urzeka nas swoją długowiecznością, burzliwą historią, ale przede wszystkim brakiem cywilizacji, która nigdy nie zdołała do niej dotrzeć.

Anna Zielińska

W 1992r. Bieszczadzka Kolejka Leśna została wpisana do rejestru zabytków. Dzisiaj mało kto postrzega ją w takich kategoriach. – *Na co dzień kolejki nie traktuje jako zabytku, który kojarzy się z czymś, czego nie możemy dotknąć, na co możemy jedynie popatrzeć. Jest ona zabytkiem, ale żywym. A my robimy wszystko, aby tak pozostało* – podkreśla prezes Fundacji Bieszczadzkiej Kolejki Leśnej **Roman Zielonka**.

Już teraz jest najdłuższą kolejką leśną w Polsce, liczy niecałe 30 km. Fundacja jednak uparcie dąży do reaktywacji kolejnych historycznych odcinków. – *W przyszłym roku „bieszczadzka ciuchcia” na pewno pojedzie do Łupkowa* – zapewnia **Roman Zielonka**. To dodatkowych 7 km trasy.

Turyści doceniają to, że kolejka, której historia rozpoczyna się w 1898 r., nadal jeździ. W ubiegłym roku przewiozła około 47 tys osób. – *Mamy ogromną nadzieję, że ten rok zamknie się liczbą 50 tys osób odwiedzających Bieszczadzka Kolejkę Leśną* – dodaje **Roman Zielonka**.

Jeżeli ktoś pojedzie do Cisnej głównie pod pretekstem zwiedzenia kolejki leśnej, to na miejscu zyska o wiele więcej. Przede wszystkim wyruszy nią w dzikie Bieszczady. Przejażdżka kolejką trwa kil-

ka godzin. Ciuchcia rozwija prędkość 20 km/h, ale czas jest nieistotny. Bieg nie szybko jak lasy, góry i krystaliczne czyste potoki za oknem wagoniku. Wewnątrz ludzie, którzy kochają przyrodę, brak cywilizacji, właśnie tak pojmowana wolność. Innym pewnie by się nudziło. W podróży Bieszczadzka Kolejka Leśna udało mi się spotkać niezwykłą osobę. 95-letnią staruszkę z Warszawy, która jedynie raz podziwiać piękne Bieszczady.

Choć bieszczadzka kolejka cieszy się ogromną popularnością, już nie tylko regionalne media, ale i ogólnopolskie chcą ją promować. W okresie letnim tego roku wspominała o niej radiowa Trójka, a program telewizyjny „Kawa czy herbata” emitowany był z jej stacji. Ostatnio stała się również głównym motywem w imprezie o randze europejskiej.

15 września obchodziliśmy po raz pierwszy w Bieszczadach Europejskie Dni Dziedzictwa. Bieszczadzka Kolejka Leśna zgromadziła w ich trakcie wielu swoich sympatyków. Okolicznych mieszkańców i przejezdnych, w kapeluszach i z gitarami, rozśpiewanych wędrowców. Wśród nich goście specjaliści, ludzie pióra i miłośnicy przyrody razem np. krakowski poeta Adam Ziemiński, pisarz z Beskidu Niskiego An-



drzej Stasiuk oraz fantastyczny czeski fotograf Aleš Kuczera.

Obecność w tak niezwykłym miejscu kolejki leśnej to świetna okazja do realizowania takich spotkań. Bo kolejka przyciąga, inspiruje, zabiera w niecodzienny świat. – *Jej pasjonaci stworzyli już niejedną wielką przyjaźń* – zapewnia **Roman Zielonka**. ■

(artykuł dla „Nowego Podkarpacia”)

Nie każdy musi ją od razu pokochać, ale na pewno warto spróbować zagrać i chociaż na chwilę uciec od codzienności

„Wiedźmin”, towarzyska gra wyobraźni

Magdalena Zakrzewska

Była już książka, był film, ale nie było jeszcze gry. Ale jest! „The Witcher”, czyli „Wiedźmin”, to najbardziej oczekiwana w tym roku komputerowa gra akcji. Powstanie „Wiedźmina” planowano już na rok 2002, jednak prace nad niesamowitym projektem rozpoczęły się dopiero trzy lata później, w Łodzi.

Największy polski dystrybutor gier komputerowych, CD Projekt, zdecydował, że to właśnie Łódź, a nie Warszawa będzie najlepszym miejscem na produkcję owej wyjątkowej gry. Szef oddziału CD Projekt w Łodzi, **Sebastian Zieliński**, podkreślał, że jest tam znacznie więcej zdolnych grafików i programistów niż w stolicy. Firmę, która wyłożyła kilka milionów dolarów na produkcję „Wiedźmina”, założyli w 1994 r. dwaj licealiści: **Michał Kiciński** i **Marcin Iwański**. Swoją pierwszy poważny sukces odnieśli sześć lat temu, wydając grę fantasy „Wrota Baldura”.

Świat gry „Wiedźmin” to również bajkowy i tajemniczy świat fantasy. Idea została oparta na książce autorstwa **Andrzeja Sapkowskiego**, który w początkowym etapie gry zaakceptował zarys fabularny, jednak nie brał udziału w pracach całościowych. Być może dlatego akcja rozpoczyna się pięć lat po wydarzeniach opisanych przez polskiego pisarza. Akcja toczy się w podzielonych Królestwach Północnych, które walczą ze sobą, a bohaterem jest Geralt z Rivii, wracający do ruin siedziby wiedźminów – Kaer Morhen. Po drodze zostaje oczywiście zaatakowany przez bandytów i (jak to wielki bohater) cudem unika śmierci. Niestety, wskutek napadu traci pamięć...

Po takim wstępie można by pomyśleć, że gra „Wiedźmin” nie różni się ni-

czym specjalnym od innych gier fantasy i że pewnie jest mocno przereklamowana, co często się zdarza, a oczekujący na zapowiadany fenomen są później mocno rozczarowani. Jednak ta gra kryje w sobie wiele miłych niespodzianek. Pierwszą jest tzw. silnik graficzny, który został specjalnie dostosowany do rozgrywki jednoosobowej. Dzięki tzw. technice Shader umożliwia wyświetlanie różnych efektów pogodowych, odbić powierzchni wody, mapowanie środowiska i wykorzystywanie „map światła”. Oprócz imponującej szaty graficznej pojawiają się ciekawe dialogi, które nawiązują do humorystycznych aluzji, charakterystycznych dla Sapkowskiego. W polskiej wersji gry swojego głosu użyczyło ponad 50 aktorów! Głównego bohatera Geralta „zagrał” **Jacek Rozenek**.

Kolejnym bardzo ważnym elementem gry jest tzw. fabuła nieliniowa. Węzły scenariusza można rozsypać na kilka sposobów, zmieniają się w zależności od podejmowanych przez gracza decyzji. Możliwe są trzy różne zakończenia. W czasie gry bohater zdobywa punkty doświadczenia. Im więcej punktów, tym wyższy poziom. Na każdym poziomie gracz rozwija talenty swojego bohatera, ulepsza jego cechy psychofizyczne i umiejętności związane np. z walką mieczem. Tym sposobem tworzy tzw. drzewo umiejętności bohatera, które dzieli się na zdolności pasywne i aktywne. System walki został oparty na sekwencji różnego rodzaju ciosów.

A teraz coś specjalnego, co na pewno przypadnie do gustu mężczyznom. Z myślą o płci męskiej (a może i nie tylko) wirtualny Wiedźmin spotyka na swej drodze wiele kobiet. Jednak aby je uwieść, musi się mocno postarać. Może

je obdarowywać kwiatami i biżuterią, czyli tym, co kobiety lubią najbardziej. Po intymnym spotkaniu z „wybranką serca” gracz otrzymuje specjalną kartę z jej wizerunkiem. Ze względu na ten erotyczny wątek gra jest przeznaczona wyłącznie dla pełnoletnich entuzjastów.

„Wiedźmin” jeszcze przed pojawieniem się w sklepach zrobił wiele pozytywnego zamieszania. Nie tylko w Polsce, ale również na całym świecie. W Internecie aż roi się od poświęconych mu stron, blogów i dyskusji oraz wymiany wrażeń na forach. Gra zdobyła wiele nagród i wyróżnień, a jej kolekcjonerska edycja (2999 sztuk) rozeszła się w ciągu niecałej doby (22 godzin) w sklepie internetowym. Zawierała dodatkowo m.in. grę karcianą, wiedźmiński medalion (brelok), koszulkę z logo gry i dwustronną mapę na specjalnym papierze.

W wydaniu standardowym znajdują się: DVD z grą „Wiedźmin”, dysk bonusowy z materiałami wideo, soundtrack, instrukcja i porady dla gracza, obowiązkowo opowiadanie Andrzeja Sapkowskiego oraz mapa świata gry. „Wiedźmin” został wydany aż w 15 wersjach językowych. CD Projekt wyprodukowało również ludzkich rozmiarów figurę Geralta, którą mogliśmy spotkać na tegorocznych Targach Książki w Krakowie.

Bez wątpienia gra „Wiedźmin” to fenomen na światową skalę. Sprzedaje się znakomicie i na pewno cieszy sukcesem jej twórców i fanów fantasy. To towarzyska gra wyobraźni. Nie każdy musi ją od razu pokochać, ale na pewno warto spróbować zagrać i chociaż na chwilę uciec do codzienności. Na koniec posłużę się cytatem z forum internetowego poświęconego grze: „Do wszystkich niezdecydowanych! Po prostu kupcie tę cholerną grę!” ■

Zostań jednym z Nas Dołącz do Samorządu!

Zamiast przyglądać się Życiu Uczelni zacznij je kreować!



Nie czekaj na następne wakacje i przyłącz się do Nas!

www.samorzad.ksw.edu.pl